



P.T. 8380

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich PAN

NOWOROCZNIK

Polski.



Za pozwoleniem Cenzury.



To Maria! — Boze!

<http://rcin.org.pl>

NOWOROCZNIK

POLSKI

Pfci Piękny

POŚWIĘCONY

1833.



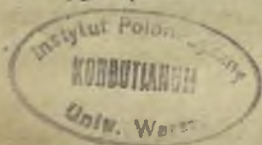
WARSZAWA

W DRUKARNI B. KOM. RZĄD. OŚW. I WYZ. RELIGIYNYCH.

nateraz

D. DZIEROŻYŃSKIEGO; STARANIEM I NAKŁADEM TEGOŻ.

P.I-2380



5965

9.3.0/12

POWODZ,

POWIEŚĆ.

Znane są powszechnie z rozlewu swych wód sławne niziny Ziemi Pińskiej. Każdey prawie wiosny wezbrane rzeki i jeziora kray ten zamieniając w morze, tysiącami razem wysep okrywaią.

Słyszemy nie raz cudzoziemców, a niekiedy nawet rodaków utrzymujących z uporem, że kray nasz pozbawiony iest tych zachwycających widokow, tych ozdób natury, iakimi się

odznaczają inne części świata. Zapewne, wyrzuty Wulkanów nie przyświecają płaszczyznom naszym okropną swą łuną; nie znamy strumieni ognistych, ani gór posyłających na doliny nasze bryły śnieżnych. Słuchu naszego nie uderza miły szum wodospadu, ani wzroku przestrasza przepaść bezdena; kraj nasz płaski i równy prócz ozdób w jakie się po zimie odziewa, inną się nie zdaie szczycić rozmaitością; ale proszę z początkiem wiosny udać się do Ziemi Pińskiej, sławney z swych nizin, i przypatrzeć się iak nagle wezbrane rzeki i jeziora kraj ten zamieniając w morze, tysiącami razem wysep okryją; wtenczas przekonamy się pewnie, że sprawiedliwa w swych rozporządzeniach opatrność równą nam, ieśli nie większą od innych narodów wydzielila część tych zachwycających obrazów,

tych dzikich położen, na które, iak in-
ni, lubim z trwożliwym poglądać zaię-
ciem. Widok ten okazały ponowił się
niedawno w całej swej straszliwej
ozdobie, gdy przy nagłym z mroźney
i śnieżney zimy do ciepłej wiosny
przeysci, rzeka Prypec (1) mnóstwem
zażywiona strumieni, w części kraiu
między Dawidowem a Turowem le-
żącej, naywyższe groble i wzgórza,
ogromem wód swych zalala. Bogat-
si mieszkańce przewiduiąc z mnogo-
ści śniegów nadzwyczajną powódź w
tym roku, nim zamróz hart swój roz-
puścił, szukali z maiątkiem rucho-
mym w naybliższych miastach schro-

(1) *Prypec* ma bydź zepsuty wyraz z da-
wnego nazwania *Trypiac*, które, podlug
mniemania kraiovców, miało bydź dane
tey rzece na oznaczenie trzy razy pięć,
to iest piętnastu strumieni, które ją za-
żywiaią.

nienia. Przezorny kmicć na wczćsnić przygotowaną tratwę, lub szuhaleię (1) zniostszy chudobę, czekał spokojnie z wiosłem i łakiem na podniesienie się wody, i gdy iego prózna lepianka pomalu zanurzała się w głćbinie roztopów, on bezpieczny, wesóły nawet puszczał się na los szczćscia z wodą, i ieszcze mniej ostrożnym po drodze daiąc ratunek, lub chciwą ręką ściągając pływaiące rozbite szczątki, znaydował w powszechnem zniszczeniu, sposoby polepszenia doli; ale najmniey dobrze wychodził ten, co ubezpieczony wywyższoną cokolwiek siedzibą, spokojnie pod noc przysłuchiwał się szumiącemu wiatru z południa; chytry ten wiosny posłaniec zagubną niebdalstwu iego karę gotował, a niebez-

(1) *Szuhaleia*, czyli *Czuhaleia*, statek większy od czółna, zwykle z icdnego wyłobiony drzewa.

pieczeństwo tak nagle zewsząd spadło, iż nim promień słoneczny strzechę jego oświecił, już pozbawiony gruntu, w zręczności tylko pływania, ocalenia mógł szukać.

Nie każdy rok zapewne przynosi z sobą tak wielki wód ogrom, żeby znacznie wyniesione miejsca nie uszły jego zalewów; są powiększey części lata, w których powódź nie przechodząc kilku stóp wysokości, żadnem prawie niebezpieczeństwem nie grozi. Właśnie ta niepewność bywa przyczyną obojętności mieszkańców, z którą zwykle poglądają na iey zbliżenie się; lecz wiosna, w początkach którey mieścimy naszą powieść, tak w deszcze i roztopy była obfitą, iż najstarsi ludzie nie pamiętali podobnie wielkiego wezbrania. Pod tę straszliwą chwilę, w zapadłej 'okolicy Turowa, gdzie mnóstwo rzek i jezior okrytych

I*

śniegami, rozpęklszy się nagle, zalew swój rozciągnęło na nieścignione okiem obszary, przestrach i rozpacz były nayokropniejsze. Zmnieyszał się pomału, lub nikł zupełnie pod zagubnym potopem ląd stały, zostawując na widoku iakby z łona wód wyrastające drzewa i całe borów ostępy. Groble, pagórki i wszelkie wyżyny zamieniały się nagle w tyle wysp rozmaitych, ile ziemia posiadała, mniej lub więcej, mieysc, wzniesionych nad poziom. — Brzegi ich okrywał lud cisnący się zewsząd z tratwami, czółnami, lub dorywczym pływem, szukając dla siebie i majątku schronienia. Wołania żądających ratunku, ryk bydła strwożonych i wrzaski wodnego ptastwa, pomieszane z łoskotem pękających lodów i walących się drzew z szumem, przerażającym rozgłosem napelniały powietrze. A gdy iedni na tratwach z

dobytkiem holowali ku stronie, którey wyniesienie ieszcze im czas nieiaki ochronnego obiecywało lądu, drudzy na lekkich łodziach, omiiając bryły lodów, puszczali się za podchwyceniem upatrzoney na wodzie zdobyczy, lub za łowem dzikich kaczek, których stada spłoszone z oparzelisk pękaniem lodów, w chmurach ćmiących dnia jasność, unosiły się w powietrze; gdy inni nakoniec tonącym nieśli ratunek, znajdowali się tak zuchwali i chciwi, co na nayniebezpieczniejszey głębinie z swych łódek i tratw szczęśliwszym od siebie połowcom zaprzeczali łupu, i iak gdyby pod nogami ich była ziemia, do upadłego z sobą o lichą zdobycz walczyli.

Wśród tych przerażających widoków, na naybystrzejszey głębinie, Prypeć mając swe koryto, z niedoścignionym pędem gruchotał, lub młyn-

kiem obracał wszystko, co bieg iego zachwyił. Widziano wyływających z odległych lasów i puszczaiących się na iego bystrzynę, w lekkiey szuhalei dwóch ludzi, którzy zręcznie robiąc wiosłami, zdali się chcieć, mimo oczywistego niebezpieczeństwa, dostać się koniecznie na bliższą [tę] strony wód przestrzeń, gdzie krzaki i oczerety mniej zatopione, zapowiadały pewnieysze stałego ładu dostanie. Jeden z nich na przodzie statku, podstarzały cokolwiek, śmiałego spoyrzenia, a czarno obrosły twarzy, iak to jest powszechną mieszkańców tego kraiu oznaką, osiadły w tuszy, a szeroki w plecach, które obszerny czarny kożuch okrywał, z dzielnych wiosłem obrotów i bacney na wsze strony pilności, biegłego przewoźnika miał postać; drugi nie tyle młody, rośly i zwinny, z kroiu przystoyney odzieży i

czapki pod karmazynem bobrowey, zdał się należeć do stanu tey liczney w tym kraiu szlachty, która zwykle więcey iest w cnotę i dobre uczynki, nizeli w majątek bogatą. Obydwa mi-iając z obojętnością zarwane pędem wody, tratwy, bale, mosty, i wszystko zaczem się uganiali inni, ważniejszy zdali się mieć cel swey pilney żeglugi. Szybkość ich biegu połączona z niebezpieczeństwem, którem otoczeni byli, niezmiernie zajmująca wystawiała z nich widok. Statek ich nowy i gładki, nie obiawiał w sobie tak wielkiego ciężaru, żeby nim nie mogli wyrabiać podług potrzeby: zdał się iednak obszernością swoją być na dwa wiosła za wielki; ale wprawa żeglarzów, ich pracowitość niepokonana, uniała tę niedogodność nagradzać; szedł zatem dość równo i lekko, póki się na spokoyney głębi znaydował; lecz iak go

tylko zarwał war rzeki, niedostatek rąk zaczął go co raz bardziej na niebezpieczeństwo wywrotu narażać. — Trzeba było wielkiej zręczności i siły żeby wśród wzdętych fali utrzymać jego równowagę; tymczasem pęd wody coraz go bardziej unosił od miejsca, przez które nasi żeglarze zdali się mieć zamierzoną drogę. Spotykane za każdym zagłębieniem wiosel różne przeszkody, byłyby już dawno mniej biegłych przyprawiły o zgubę, gdyby ich wprawa połączona z przytomnością umysłu, nie raz z przepaści nie wydzwignęła statku, który ciągle pograżony w falach, ich tylko ukazywał nad wodą, pasujących się z zgubą! Tak więc znościomość obchodzenia się z tym zagubnym żywiołem, i umiejętność poddania się zręcznie jego pędowi, co raz ukośniejszą drogę przybierały z szerzyny wzburzonej rzeki, i po wie-

lu śmiałych obrotach wywiodły ich, acz o dobre ćwierć mili na dole, na spokojniejszą wód przestrzeń, gdzie wypocząwszy cokolwiek w zaciszu oczeretów, bezpieczniej szybować zaczęli.

— Hey! hulay, hulay szuhaleyko moja! zawołał z ruska barczysty przewoźnik, dzielnie rozgarniając fale, czas przyszedł twoiego żniwa, tylko mi nie wywróc koziółka.

— Tak, tak Jurga! kiedy Bóg dał nam zleść szczęśliwie z grzbieta tey naieżoney bestyi, poganiay dobrze, a strzeż pniaków i lodów; ponowił młody żeglarz, ocierając pot kroplisty z rumianey swey twarzy. Słońce jeszcze w poranku, pamiętay tylko żebyśmy nie zbłądzili z drogi; bo ia choć z zawiązanemi oczyma, trafiłbym do każdego moczaru tych kniei; dalibóg teraz niebardzo wiem gdzie iestem.

— Już ci ja wiem, żeście nie sto razy tędy sunęli na waszym kucyku; nie było dla was ni ciemney nocy ni burzy trzaskącey, ale powódź to co innego. — A gdzież mamy być teraz ieśli nie na wilczym stoku? Toż przecie widzicie po sosnach barcie hrehorowe. Na łądzie można złym pędzić gościńcem, tu iest tysiąc gościńców i każdy dobry. Dawnożbo tak piękney wody nie było! mówił przewoźnik, wiodąc wzrok uradowany po powszechnym zalewie. Pokapią się dobrze nasze Pinczuki, puszcza ludzie z wodą nie mało, i nie mało z niey zbiorą, ale co my, to podobno darmo pędzim szuhaleią.

— Mój kochany, czyż godzi się tak myśleć! odezwał się młody żeglarz boleśnie dotknięty. Podana pomoc nieszczęśliwym nigdy nie iest straconą.

— Juźci takby należało, ale na przednowku nikt o tem nie pamięta. Człowiek biedny ledwo się wlecze po suchym lądzie, nie mając nic za ząb założyć, a ten co zbierał i młócił, ani pomyśli, żeby go ratował.

— Nie możesz tego mówić o wszystkich; Pan Klepczacki, naprzykład, ostatkiem dzieli się z biednemi.

— Pan Klepczacki iak Pan Klepczacki, odmruknął przewoźnik, to też mu dał Pan Bóg z czego ludzi ratować. W ciemie on nie bity, nie czekał zapewne aż woda z Horynia dostatk iego podmyie; stary to gospodarz, zna dobrze tę rzekę, ma ludzi dostatek, i za sanney musiał się schronić do Pińska.

— Dałby Bóg! ale powiedz mi mój kochany, iak miarkuiesz, czy dom iego wyżey leży od lądu, nad którym teraz płyniemy.

— Co mu ma być? — Jużci prawda, domostwo niżej leży od gospodarskich budynków; ale grobla nie darmo od rzeki zasłania; a choćby tam iaki snopek, albo dobytek puścił na Horyń, nie wiele straci, bo mu na innych wioskach narodzi się za to; ale co my to pewnie z próżnemi rękami powrócimy do domu.

— Nie możesz, widzę zapomnieć téj tratwy z chudobą, co ci woda z przed nosa uniosła. Przecież widziałeś, że iey ludzie od lasu zabiegli i zginąć niedopuszcili.

— A mnie co z tego, odpowiedział burkliwy przewoźnik, że ią tam ludzie przeięli? Mnie z nięj ani ieden opałek nie przyydzie. Człowiek od świtu prawie na wodzie gorzëj wołu w iarzmie horuie, inni pożytek odnoszą.

— Albow ci nie przyrzekł cztery talary iak sam żądałeś za dostawie-

nie mię na Klepczaki! Ach! dam ci drugie cztery, tylko spraw, żebym w czas tam przybył!

— Cztery talary są tylko cztery talary, a tu połów nie czterech talarów nie raz się człowiekowi iak na złość pod rękę podwiia. Aż mię wstyd, że iak głupi z prózną się na toni błąkam szachaleią.

— Mój kochany, czyż cię nie smuci ten widok zniszczenia pracy i nadziei ludzkich! I chciałżebyś zich szkody korzystać?

— Ktoby tam ludzkiey szkody pożądał! Albo to ia tę powódź sprowadził? Boska to wola; co woda daie, Bóg daie; wiosło nasza socha; na to iedni siedzą na górach i wyżynach, żeby sieli i orali; na to my brodziemy po tych moczarach, żebyśmy z wody brali pożytek.

— Bardzo dobrze; więc osuszay

blota, syp groble, spławiaj drzewo,
 łów ryby, a praca twoja, iakbyś siał
 i młocił, przyniesie ci korzyść; ale
 nie szukaj w upadku bliźniego po-
 lepszenia doli.

Tak usiłując lepsze wzbudzić u-
 czucia w sercu oziębłem na ludzkie
 nieszczęścia, młody nasz żeglarz
 mniéj świadomy drogi w tym po-
 wszechnym zalewie, który prócz po-
 godnego nieba i coraz rzadszych po-
 stronach ostrowiów, nic mu z zna-
 néy nie okazywał krainy; powodo-
 wał się w milczeniu wiosłu przewo-
 znika, pomagając mu z całej siły,
 żeby statek, ile być może, posuwał
 się iak nayprędzėj. Znał on dobrze
 wierność wodnych kraiu swego mie-
 szkańców, i wiedział, że zgodzony prze-
 woźnik świętobliwie zawsze dostawia
 na przeznaczone miejsce tego, któ-
 ry się iego statkowi powierza; ale

znał też nienasycony umysł naie-
mnika swego ; a nadewszystko wie-
dząc, że ci ludzie pokorni i skromni
w swych ubogich lepiankach, na tra-
twie, lub szuhalei stają się niezmier-
nie zuchwałemi, nie chciał drażnić
iego chciwości, lubo postrzegał, że
nakład drogi stawał się co raz zna-
czniejszym. Iakoż, naylichszy przed-
miot na wodzie zwracał iego statek
w stronę, w której się ukazywała na-
dzieia obłowu. Oko przewoźnika
wszędzie było obecne, a ucho pil-
ne na odgłos naycichszy, zaraz po-
znawało, czy wołanie ludu wzywa do
podziału łupu, czyli iest tylko zwo-
dniczéy uciechy obiawą ; ale młody
nasz żeglarz, zaięty iedynie poście-
chem swéy drogi, ile tylko mógł,
niedopuszczał z niéy zbaczać. Słońce
iuz podnosiło się do południowéy
wysokości ; troskliwość o los osób,

2*



którym śpieszył na ratunek co raz mu czas droższym czyniła; rosnąca woda podwajała niespokoyność tęsknoty za usługą, która miała nadzieie jego podnieść, lub zniszczyć na zawsze! W tak pilnéy podróży, mając na ciągłéy baczości obróty przewoźnika, uważał, że nagle skierował statek z zwyczajnéy drogi, i często w jedno odległe pogłądając miejsce, zdał się tam chyżéy iak dotąd pośpieszać, wodna jednak rozległość prócz fal wzdętych nie mu dostrzedz niedozwalała.

— Jesteśmy teraz, zda mi się na łąkach horodyskich, odezwał się młodzieniec, lub nich niedaleko; a ieśli mié te brzozy nie mylą, tośmy do brze z drogi ziechali.

— Ieśliśmy ziechali, to sobie prowadźcie statek, może lepiéy znacie gościniec; iuż ia i tak mam dosyć

za cztery talary, odpowiadał zachmurzony przewoźnik, ciągle i coraz z większem zacięciem poglądając w upatrzony przedmiot. Gdzie Horodyszcze, a gdzie na Klepczaki droga? Toż przecie musicie widzieć te cztery krzaczki, iakby rosada na wodzie rosnąca.

— Alboż tu mało ich widzę? odpowiedział młodzieniec, pokrywając niechęć. Czy to nam żeglugi przyśpieszy?

— Czy przyśpieszy, czy nie przyśpieszy, ależ przecie na Horodyszcze ieszcześmy nie przyszli; prawda, że i Horodyszcze tak niby patrzy; ale te krzaczki to są cztery lipy na cmentarzu witulskim; Cerkiew ieszcze na świecie, ale dzwonicia do połowy zalana; no, dzwonom się nic nie stanie, ale wątpię, żeby Moszko uspiął uratować wszystkę gorzałkę, co z wio-

sną wypalił! Karczma daleko niżéy od Cerkwi! szkoda ludzkiéy pracy.

Tak mówiąc do siebie Jurga, coraz z większym pędem posuwał statek ku upatrzonemu celowi, który o kilkaset kroków dał widzieć iakiś zamęt na wodzie, podobny do wiru, znaczny w głębinie czyniącego okrąg. W krótcie za zbliżeniem się w to miejsce, dokładniéy można było poznać, że stworzenie iakieś tonące podnosząc niekiedy nad powierzchnią wody głowę dla zachwycenia powietrza, zdało się ostatnich sił dobywać, żeby się oprzeć pochłaniającemu je żywiołowi. Widok ten przeraził młodego żeglarza; parł statkiem z natężeniem, wołając na przewoźnika, żeby z przodu podał wiosło nieszczęsnéy istocie.

— Tak, wiosło, zapewne. Albo to dusza, toż przecie to bestya bezro-

zumna, odpowiadał przewoźnik uradowany nadzieją zdobyczy, która się mu ukazywała, i zwracając szybko szuchaleię na przeciw zwierzęcia, pochwycił je zręcznie za uszy, podniósł do góry, i ukazał piękną głowę konia, którego trzymając bokiem do statku, dał mu czas zachwycenia powietrza.

— Podnieś go lepięy do góry! wołał chciwy uratowania zwierzęcia młodzieniec. Tak, tak, obróć do szuchalei, ia deski podłożę.

— A o čo ie oprzeć? daycie pokóy, to nie wywłoka od brony, onby od razu statek wywrócił. Pędźcie lepięy szuchaleię ku téy bryle lodu... mówił, skazuiąc okiem na krę ogromną, ia mu tymczasem niedam póysć na dno.

Tak płynęli kilkadziesiąt kroków -zabiegaiąc ogromnéy bryle lodu, któ

ra się powolnie wlekała po głębinie. Koń podniesiony do puł szyi nad wodę parskał czas nieiaki, poczem pomagając czynionemu ratunkowi, zaczął robić przednieminogami. Tym sposobem zbliżono go do bryły, na którą młodzieniec rzuciwszy dla umocowania kilka deszczulek i matni leżących w szuhalei od przypadku, podsunął ją pod nogi konia i dźwignąwszy go za wędzidło, dał mu sposobność dostania się na nią, a z niej przeyscia na statek. Dzielny wierzchowiec otrząsłszy się z wody, zaczął obiawiać uradowanie kopaniem nogą o dno szuhalei. Był to gniadosz pańskiéy stayni, starannie, iak okazywał, utrzymywany. Siodło na nim angielskie i czaprak krótki dywdykowy, dawały znać, że do znakomitego jeźdca należał; ale wędzidło przerwane, i zranione piersi,

dowodziły okropney przeprawy, iaką musiał wytrzymać, a okropniejszego ieszcze losu jego pana! Patrzył na niego rozweseloną twarzą przewoźnik, grubą swą dłoń wodząc po śliskim grzbiecie zwierzęcia; gdy młody nasz żeglarz niespokoynein okiem poglądał na przestrzeń wodną, którą nie chybnie być sądził grobem nieszczęsnego właściciela téy smutnéy spuścizny.

— Patrzcie! ozwał się przewoźnik, obiawiając niezgrabnie swe uradowanie, iak ta bestya choć przemokła do nitki, nie traci fertazyi, a kark trzyma, gdyby te białe ptaki co między oczeretami nadęte pływaią; tylko że mi się gdzieś troche o lód poraniła; to prędko się zgoi; ale wy lepiéy na tém się znacie; powiedźcie, co myślicie za takiego wierzchowca

możnaby wzięść w Pińsku na iarmarku? —

— Mój przyjacielu! odpowiedział z zagniewaniem młodzieniec, iam cię z szuhaleią niał, żebyś mię iak naysprzedzēy na Klepczaki stawit, nie żebym ia ci prawit o cenach na konie w iarmarku.

— Będziem tam, będziem za chwilę, ponowit przewoźnik, odpieraiąc od bryły lodu; tylko nie podnoście tak wiosła, bo się koń stracha. Owoż Bóg łaskawy nie raczył opuścić i moiēy biednēy szuhalei. Bogaczów szkoda, ubogich pożytek; a gorzēy byłoby, żeby poszedł na dno; ia tedy myślę, że kiedy nasze mierzyny płacą po kilkanaście talarów, za tego bezpiecznie będzie można ze sto zacenić; nie prawdaż?—

— Powinienbyś wprzód myśleć o dowiedzeniu się o losie iego pana,

iak o naznaczaniu ceny na iego nie-
szczęśliwą własność.

-- Pan tego konia, iak miarkuję,
zsiadł z tąd gdzieś niedaleko, ale że-
bym się niewiem iak o niego pytał,
iuż się biedny z nim niezobaczy, oy!
niezobaczy; a choćby się tam gdzie i
uratował, iam mu szkapy ze stayni
nie wywiódł, tylkom ią z wody wy-
ciągnął, i nie oddam inaczey, aż mi
moia praca będzie zapłacona, iak sam
zechcę.

Czuł dobrze młody nasz żeglarz,
że spieranie się z naiemnikiem statku,
któremu się wodny wędrowiec po-
wierza, zawsze iest ze szkodą podró-
żującego, nie tak iak na lądzie, gdzie
z niesfornym woźnicą w każdym się
mieyscu można łatwo rozstać; przy-
znaiąc mu zatem w milczeniu słusz-
ność iego zasad, i wszystkie wodne
zdobycze, iakie tylko mógł spotkać,

prawu iego poddając, o to tylko należał, żeby go iak naysprędzey na požądane miejsce dostawił. Nic też po zdobyczy konia w dalszey podróży nie ściągalo bacznosci Jurgi, coby zatrzymywało pośpiech żeglugi. Pływające po większey części bale, klepki, snopy, dachy i całe ściany zniszczonych chałup, nie kusily iego chciwości; patrzył na nie z zwyczajną obojętnością; lecz gdy spotkał ładowną łupem tratwę, pędzoną przez wesolych żeglarzów, kiedy widział liczoną im przez nieszczęśliwych podróżnych zapłatę za odebrany ratunek, czoło się iego zachmurzało zazdrością, mruzczał złorzeczenia pod nosem, i nie mógł wytrzymać, żeby się przynajmniej nie dowiedział, co i gdzie zdarzyło się im zyskać. Towarzysz iego przeciwnie, losem tylko przyiaciół zaięty, jeśli kogo uyrzał, iedyne miał

w ustach pytanie, co się na Klepczakach dzieie, i iak wysoka woda na Horyniu? Ale odpowiedzi spotykanych żeglarzów nic mu pocieszającego nie wróżyły; każdy sobą zaięty, niewiadomością się składał, lub słabą go krzepił nadzieią. Płynęli tedy nie zatrzymując się więcey, gdy przewoźnik ominąwszy zarzucony lodami oczeret: owoż Klepczaki! zawołał uradowany, ale biedne kąpią się w wodzie iak bobrowe klatki! trudno, trudno będzie im pomódz!

— Gdzie, gdzie Klepczaki? przerwał młodzieniec, upuszczając z przerażenia wiosło. A dwór czy ieszcze na lądzie?

— Ale wiosło w wodzie, ozwał się burkliwy naiemnik, sięgając po upuszczone narzędzie. Czemu lepiej nie dzierzycie wiosła? Wiosło na wodzie

rzecz droga, nie łatwo go, iak bicz iadąc, wyciąć po drodze.

— Tylko mi powiedz mój miły, czy dwór nie zatopiony? Nie prawdaż, że grobla ieszcze nie przzerwana? pytał wpatrując się ciągle w oblane siedlisko.

— Co tam dwór? gorzey, że na dach stodoły i obór, fale iuż biią; na szuhaleję ich nie weźmiem, a dworowi co ma być; on sobie stać będzie, iak stał na swych podwalinach, choćby mu woda i kominy zabrała.

— Przecież, czy nie widzisz tam poruszenia iakiego, czy nie postrzegasz kogo, coby potrzebował ratunku?

— Chyba bezrozumny byłby, ktoby dotychczas tu czekał; kto miał odpłynąć, popłynął z Bogiem, a kto miał zginąć, poszedł dawno iuż na dno.

— Tylko zmiłuy się, pędź co masz siły. Mówił nowym ożywiony zapa-

łem, a szuhaleia z szybkością biegnącego konia posuwała się wprost ku mniey, lub więcey zanurzonym budowom znaczney wielkości gospodarского obeyscia; wśród których dom obszerny o sześciu oknach z przodu, z tróykątną wystawą u góry i kościółek drewniany na uboczu, zdały się jeszcze wznosić w zupełney swey całości nad szerokim wody rozlewem; reszta dachami tylko nad nim świeciła; ale nikogo tam dostrzedz nie można było, któryby uwiadomił, co się z mieszkańcami stało. Cichość i spustoszenie panowało do koła.

Jak tylko szuhaleia przytknęła do ganku domu, którego podmurowanie już zalew przewyższał, młody żeglarz rzuciwszy się w odmęt, wpadł w mieszkanie i zayrzał nayprzód do pokoju leżącego z drugiey strony sieni. Przez drzwi iego rozwarte,

woda wdzierając się strumieniem, porywała przez okna na ogród długie ich białe zasłony, iak gdyby z niemi igrać chciała; wywróciła wewnątrz posłanie, krosienka z robotą i inne statki, między któremi pływały rysunki, nuty muzyczne, i kapelusz słomiany niewieści. Widok iego okrył śmiertelną bladością twarz młodzieńca. Już iey tu nie ma! nie ma może na świecie! zawołał z głębi udręczoney duszy, i porwawszy kapelusz, ieszcze lękliwą rękę zanurzał na dno, szukając tego, coby znalezione okropnieyszą nad tysiąc śmierci, przeięło go zgrozą! ale szczęściem nic tam nie spotykał na domiar okrutney pewności. Udał się zatem w inne części mieszkania. Wszędzie ta sama cichość i opuszczenie! Nikt się nie obiawiał, nikt nie potrzebował iego ratunku, a wszystko rozpieniony za-

lew napelniał. Kanapy, stolki, ławki, i wszystko co bliższe ziemi, ruszone z miejsca, unosiło się na wodzie, pływając po niej samopas, stoły tylko, szafy i obrazy na ścianach, ieszcze się swego miejsca trzymały. To odbiezenie domu bez ładu, wprawdzie dawało poznać, że mieszkańcy iego nagle zaskoczeni wodą, ratując się z życiem, nie mieli czasu o rzeczach pamiętać; ale nagłość ich oddalenia się, niemniej jednak nie zaspakaiała, że w tey mierze potrafili uysć niebezpieczeństwa, osobliwie, iesli iak się zdawało, w nocy uchodzić przymuszeni byli.

Nie tayaną była naszemu żeglarzowi zamożność domu pana Klepczackiego, a nadewszystko zabiegi nayznakomitszey tey ziemi młodzieży dla piękney iego córki; wiedział dobrze, że choć życzliwie iest od nię widzia-

ny, nie w naypierwszych znajduie się względach u oycy, bo pan Klepczacki iedyną swą córkę bogato chciał wydać; sądził zatem, że daleko możniejszy i nie ieden zapewne ziego spółzalotników, dał iuż wcześniej temu domowi ratunek; czuł boleśnie to wyprzedzenie siebie, ale daleko żywiey czuł radość, kiedy pomyślał, że życie drogich mu osób zdało się być zabezpieczonem. Zwiedziwszy zatem wszystkie kąty domu, górę nawet, gdy smutnym iego wołaniem inny głos nieodpowiadał prócz łoskotu białych fal o ściany, postanowił ieszcze gospodarskie zabudowania obeyrzeć, choć te niżey położone żadney mu prawie nieobiecowały nadziei, żeby co w nich mógł odkryć; wróciwszy więc na ganek, chciał do szuhalei wsiadać, lecz zdziwił się mocno, że iey nie zastał na

miejscu na którym przed chwilą był wysiadł; koń tylko zaczepiony wędzidłem o poręcz stał po kolana w wodzie. I ten zuchwalec miałby śmiałość mię wśród tych wód zostawić? mówił sam do siebie poglądając do koła, czyli gdzie Jurgi z szuhaleią nieurzy; lecz na cóżby mi konia porzucił? on tak wielkie sobie z niego zyski wróżył. — Nie, on gdzieś pewnie w pomoc nieszczęśliwym obrócił. — Zaczął tedy wołać, a gdy iak wprzód żadney nieodbięrał odpowiedzi, wsiadł na koń i brodząc kędy płytszą znaydował wodę, puścił się na obeyrzenie przyległych budynków. — Zaledwie kilkadziesiąt kroków uczynił, gdy uyrzał wychodzącego z lamusu Jurge, który zdiąwszy z siebie kożuch iak do pracy naycięższey, z ogromnym połciem słoniny na plecach, i nie prózną barył-

ką pod pachą, śmiało zmierzał do stojącej u wschodu łamusu swéy bar-ki, gdzie już znaczna część zapasów domowych była zniesioną. Oburzo-ny tak zuchwałym postępkim: pięk-nie iak widzę gospodarujesz, zawo-łał groźno. Cóż to? czym ia cię na to wziął na Klepczaki, żebyś ie rabo-wał?

— Rabował, albo nierabował! od-powiedział niezachwiany naiemnik zrzucając łup swój w szuhaleię. Kto na dom zamieszkały zrusznicą nacho-dzi, kto gwałtem bierze, ten rabuie; ale kto wiośłem pracuie, gdzie woda obleie, ten poczciwie na kawałek chleba zarabia.

— Niegodziwy! znieś mi zaraz wszystko na powrot, ia cię nauczę szanować własność nieszczęśliwych.

— Ktoby myślał, że na pańszczy- znie wołacie na poddańca swego.

Daycie pokóy, tu prawo insze, tu ten rządzi, co ma wiosło wręku, nie ten co batog.

— Jurga! odezwał się powolniejszym głosem młodzieniec, ty wiesz dobrze, że wczora wielu do mnie przychodziło słusznych gospodarzy chcąc się na Klepczaki naiąć; żądali daleko mniejszý od ciebie zapłaty, i obiecywali mi pomoc i ratunek do czegobym tylko ich użył; a iam wybrał ciebie, znaiąc twoią uczciwość i cnotę; tyś wiedział dobrze, że ia tu ratować nie rabować iadę, i także to wspierasz moje zamiary?

— Co tu wspominać, co się tam na lądzie prawilo! Inny targ na lądzie, a inny na wodzie; to trzeba było tamtych naiąć, wszakżem się nie narzucal. Albo cóż ia tu tak złego robię? Gdyby tu była żywa dusza, co by powiedziała Jurga! nie bierz, to

moie, Bóg widzi, anibym się tknął ziarka iednego, choćby tam wszystko kamieniem na dno leciało; ale trudno być tak bezrozumnym, żeby z opuszczonemi rękami czekać, aż kto inny zabierze. Szkoda tylko, że człowiek nie zaiechał z większą szuhaleią.

— Ja ci mówię w imieniu gospodarza domu, odparł młodzieniec, w imieniu pana Klepczackiego, znieś wszystkonazad, ieśli chcesz, żebym ci ugody dotrzymał. Przepuściłem ci przywłaszczenie konia; pómniy, że się z sobą w Zahaci zobaczym.

— Nie wiem, kto prędy z nas będzie w Zahaci, czy wy na swym koniu, czy ia na moiej szuhalei. Roskazuiecie w imieniu pana Klepczackiego, albo was o to proszono, żebyście strzegli rzeczy, które on na bożą wola zostawił? Otoż żebyście uznali

moją pocziwość, już więcęcy do lamusu nie póyde, nie póyde, choćby tam wszystko woda zatapiała, albo kto z tratwą zaieźdzał, to mi już ie-dno; ale co weszło do moiéy szuhalei, mówił, podnosząc wzuchwałéy postawie wiosło do góry, niech mię Pohibieli porwie, choćby tu stanął sam pan Klepczacki, choćby się zbiegła cała iego gromada, niewróci z niéy więcęcy, nie wróci, choćbym miał z moją pracą póyść na dno.

Po tak śmiałem stawieniu się poznawał dobrze młody nasz żeglarz, że nie tylko daremną, lecz szkodliwą nawet byłoby rzeczą, dłužéy czas trawić na przekonywaniu zuchwalca o niesprawiedliwości iego zaboru. Zostawiwszy go zatem przy wziętym łupie, zaczął z nim łagodniey rozmawiać, pytając, coby myślał o losie nieszczęśliwych własci-

cielów domu, i gdzieby o nich można powziąć wiadomość. Przewoźnik, zajęty ułożeniem w porządek zdobyczy, iak wprzódy ciągle utrzymywał, że pan Klepczacki zabrawszy, co mógł, rzeczy na statki, udał się z niemi do Dawidowa, lub do swych wiosek na wyższym lądzie leżących, zostawując resztę na wodną przepaść, albo ludzki pożytek; że trudno go gonić po świecie i bynajmniey troszczyć się o niego nietrzeba, bo to pan przezorny i iuż się nie raz w podobnym przypadku znaydował; a że iuż nie zostaje, iak spokojnie puścić się do Zahaci na powrót, tym bardziéy, że woda znacznie przybierać zaczyna. Uznaiąc słuszność tych uwag młodzieniec, zsiadłszy z konia wstępował z nim smutno na statek, który obciążony pomnożonym

ładunkiem, o kilka cali głębię się w wodzie zanurzył.

Atoli iakaś moc niepoięta, iakiś żal niepokonany, przytrzymując go silnie na miejscu, niedopuszczał z nim rozstać się bez należytego wszystkiego jego kątown zwiedzenia; zalecił zatem przewoźnikowi, żeby ku gospodarskim budowom z szuhaleią obrócił. Guma i obory powodziom podległych mieszkańców, jeśli rzadko kiedy są pełne, z wiosną na przednowku, zwykle u naybogatszych są próżne; nie znaleziono więc w opustoszałych budynkach innych zapasów, prócz małej części przemokłych snopów, i wody napełniającej obficie żłoby i zagrody. Zwątpiwszy tedy, żeby się w tych pustkach o losie przyjaciół dowiedział, gdy już i słońce przechyliło się z południa, postanowił wydrzeć się im niezwłocznie. Nimby

iednak odpłynął, chciał ieszcze obie-
chać kościołek, przedmiot pobożnych
starań córki pana Klepczackiego, któ-
ry leżąc o podał na wzgorku , czynił
mu nadzieię, że może tam znajdzie
zakrystyana, lub dziada, który mu ia-
kiedykolwiek o losie mieszkańców wia-
domości udzieli ; i gdy w tym celu
krążył koło dzwonicy, postrzegł pły-
wającą z wiosłem na cmentarzu łod-
kę. Widok iey utwierdził go w mnie-
maniu; że się tu ktoś koniecznie mu-
si znaydować, co iego zaspokoi nie-
pewność. Obrócił zatem na drugą
stronę świątyni, i najpierwsza rzecz,
którą uyrzał, była wzrosła , w białey
sukni, obwinięta na prędcie około
głowy i ramion długim ciemnym sza-
lem , młoda niewiasta, tuląca się na
szczupłey krawędzi ziemi, którą ie-
szcze woda stopom iey zostawiała, do
zamkniętych drzwiczek zakrystyi, iak-

hy przy nich ostatniego wyglądała ratunku. Szmer wiosel zwrócił nagle iéy głowę na przestrzeń wodną. Część bladego oblicza ukazująca się z pod ciemnéy osłony, i obłąkane oko, którem w milczeniu poyrzała na statek, malowało całą okropność iéy duszy. To Maria, o Boże! krzyknął dziko młodzieniec, rzucając się w wodę i w oka mgnieniu stanąwszy przy niej, i Ty pani w tém miejscu! w tym stanie! Jednéy chwili, jednéy tylko brakowało fali, żebyś była straconą! Boże! iakże twoje natchnienia są święte! O! powierz się mi; pozwól cię wydrzeć téy okropności! wołał, unosząc na puł omdlałą przed zagubną tonią. Ocucona znanym głosem dziewica poruczała się z ufnością troskliwym staraniom. Ręka iuz iéy spoczywała na silnem wybawcy ramieniu; twarz pociągłą, słodki wyraz

nadziei ożywiał, szal zwieszony, war-
kocz czarny spadły z grzebienia, po-
mnażał wdzięki cudnéy urody, a o-
czy duże błękitne tkliwą do przyja-
ciela wdzięczność posyłały. Tymcza-
sem dzielnie pchnięty statek przez
Jurę, uderzył o grunt przed drzwia-
mi; ściągniona łódka ułatwiała prze-
ście. Ieszcze ostatki trwogi drżały
na wdzięcznych Maryi ustach, oczy
radość już ożywiała. Widzę, że Bóg
me proźby wysłuchał i przysłał mi
pożądany ratunek! odezwała się gło-
sem dochodzącym do duszy i odbie-
rała z słodkim wdzięczności wyrazem
poznany kapelusz. Błagając nieba,
myśl moja Wacławie była o tobie ;
tak jest, o tobie tylko, bo znam two-
ię duszę cnotliwą, i iesteś na mój ra-
tunek! O! niech ci będą dzięki tak
tkliwe, iak tylko serce moje czuć zdo-
ła! Chcesz, żebym się tobie zupełniéy

oddała; ale czyż pozwolisz, żebym opuszczała to miejsce w okrutnéj niepewności, co się z moim oycem nie-szczęśliwym stało! mówiła, rosząc łzami piękne swe oczy.

— Spodziewam się pani, że Bóg go dla ciebie zachowa, zachowa niechybnie, tylko przejdź czym prędzėj na statek; niech cię widzę w bezpiecznem już miejscu. Więc twój oyciec pani tu się nie znajduie?

— Wczora o świcie, kiedy ieszcze lody kryły tę ziemię, nadbiegł z Słobody młody Niemiéra, zaklinaiąc mego oycę, żeby umierającą jego matkę odwiedził. Ty wiesz Wacławie, iak mocna łączy ich przyiaźń; proźby go moje zatrzymać nie mogły! Puścił się w drogę natychmiast. — Dzień, iak wiesz, był nadzwyczaj ciepły. O południu lody na Horyniu pękać zaczęły; wieczorem woda przez groblę

wdarła się na dziedzieniec. Słudzy i parobcy znioswszy znaczniejsze rzeczy na tratwy, obrócili z niemi ku Dawidowu, zapewniając, że po mnie wkrótce powrócą. Woda co raz bardziej rostała, a gdy pod noc do pokoiów wciskać się zaczęła, przestraszona schroniłam się na łódkę, starając się, dostać na wyższe zacisze, i tu nayo-kropniejszą noc i część dnia spędziłam.

— Czemuż nie było lepiej udać się na górę mieszkania! Ale ci ludzie niegodziwi! żeby cię też tak okropnemu losowi zostawiać! Oni są godni kary nayprzykładniejszey.

— O! nie, ja ich znam, odpowiadała Maria; musieli doświadczyć wielkiej przeszkody, kiedy wrócić niemogli. Ja sama winnam, że z niemi zabrać się nie chciała.

— Albo to Horyń na wiosnę tak

snadny iak latem, odezwał się przewoźnik. Można furmana ukarać, kiedy leycem źle wiedzie, ale nie czleka, co się puszcza na bystrzynę z tratwą obładowaną. Bóg wie iak się oni tam do Dawidowa dostali.

Uradzono tedy, że nie czekając na powrót ludzi, Maria korzystać będzie tym skwapliwiey z podaney zręczności, że co raz się bardziéy podnosząca woda, wcale iéy nie radziła pozostać dłužéy na mieyscu. Przepraszał ją Waclaw, że się mieścić będzie musiała na iednym statku z koniem, gdyż łódka unieść go nie mogła; ale Maria uwiadomiona, że on także winien wybawcy iéy życie, tym chętniéy chciała z nim dzielić dalszy los żeglugi. Nie tak uprzeyme były dla niéy chęci Jurgi. Chłop chciwy, przyzwyczajony z najmnieyszéy posługi zysk ciągnąć, zaczął zaraz okazywać nieia-

kie trudności w przyięciu iey na statek, skarżąc się na zbytne iego przeciążenie, i mogące wyniknąć z tąd niebezpieczeństwa; lecz pomniąc, że się znajduie w potrzebie zasługiwania się Maryi za pewne w Lamusie wolności, których świeże dowody ieszcze w oczy biły, pokrywał milczeniem przeyscie iey na szuhaleię, gdzie iey Wacław, urządziwszy z rohoż i matni na ławce końcowey siedzenie, przywiązał z tyłu łódkę, i po lekkim posiłku wziętym z domu na drogę, kazał obracać na powrót.

Wątpić nie można, że choć brzeg Horynia zielony i ozdobny w inney porze, w ninieyszey okryty smutną wód przestrzenią, nic w sobie nie mieścił, coby wzbudzało w nim upodobanie, osobliwie dla podróżnych dotkniętych stratami, których był nieiako przyczyną; Mąrya iednak odda-

lając się od niego, nie mogła wstrzymać łez na widok opuszczonego domu, siedliska iéy zatrudnień przyjemnych, iéy chwil szczęśliwie z oycem spędzonych, które okrutna powódź co raz bardziéy chłoneła. Wiedziała ona dobrze, że iéy przytomność ani jedną kroplą nie umniejszy przemożnego zalewu, ale dusza iéy tkliwa nie mogła nie czynić sobie wyrzutów, podobnie iak czyni człowiek zbyt czuły, co niezdolając znieść widoku zgonu ukochanéy osoby, słusznie się obwinia, że z nią ostatniéy chwili nie dzieli. Patrzał i przewoźnik żalem przeięty na rozwarte drzwi lamusu, z którego nie zdołał większey wiaść korzyści, i ciężkie westchnienia do nich posyłał. Tymczasem pokrzepieni żeglarze odbiiali po mału od lądu, tracąc z smutnych swych oczu widok Klepczaków. Statek ich

znacznie obciążony, wymagał daleko większego sił nakładu, żeby szedł z równym iak wprzód pośpiechem; a pęd wody rosnącej oddalał go nieznacznie od dawnéj drogi, ciągle ku nurtom Prypecia unosił. Poznawała dobrze Marya, że to, co statku ciężkość naybardziéj powiększa, iest smutnym łupem zapasów iey oycy, lecz w téj chwili była w stanie wszystko ich nabywcy odstąpić, co tylko dom iey mógł zawierać, byleby iak nayprędzéj w bezpieczniejsze dostała się miejsce; przewoźnik zaś z swej strony co raz z iawnieyszą niechęcią poglądał na wlekącą się za statkiem próżną iey łódkę, która trudząc obroty, nieużytecznie powiększonéj wymagała pracy. Pomnażać zaczęła nieprzyjemność żeglugi zbierająca się z południa mgła gęsta, która, iak druga powódź powietrzna, rozciąga-

iąc się nad powierzchnią wody, wszystko swą wilgotną pokrywała chmurą. Wacław troskliwy o Marię, wolał w tem powszechnem zaćmieniu zwolnić żeglugę, niż przyśpieszonym pędem, narażać statek na nieprzyjemne wstrząśnienia. W rzeczy samej, trzeba było zachować wielką ostrożność w unikaniu drzew i lodów zakrytych przed okiem, o które nieraz rozpędzony uderzając statek, nie tylko wzruszeniem, lecz wywrotem zagrażał.

— Czy nie lepiej byłoby, odezwała się Maria, znieść część rzeczy na łódkę? Ulżony statek możeby łatwiej mógł omijać zawady.

— Co ta figa pomodz nam może, odparł burkliwy przewoźnik, dzieciom z nią brodzić po sadzawce, ale nie ładunek pędzić na wodzie. Ja wiem najlepiej, wiele moja szuhaleja wziąć może; ma dosyć, to prawda,

ale niechby iey tylko nie przeszkadzała ta mroka nawiedzona, szłaby przy boskiej pomocy iak kaczka po stawie.

— Mój kochany, ozwał się Wacław, patrząc z niechęcią na zanurzony głębiej przód statku, przy którym była złożona zdobycz przewoźnika. Czy uważasz, że się z twój strony ledwie woda do statku nie wmyka? Zle jest podzielona równowaga ciężaru, trzeba ładunek rozłożyć na części.

— Trzeba ręk nie żałować, a lepiej wiosłem zajmować, — odpowiedział przewoźnik.

— Wacławie! odezwała się Marya, poglądając tkliwie na powiększone jego usiłowania. Ty tak bardzo dla mnie pracujesz? Czyż warte są te nieszczęsne zdobycze, żebyś znój twój drogi pomnażał! — Mój kochany, mówiła, obracając głos do przewoźnika,

czy nie możnaby cokolwiek zmniejszyć twych zbiorów? Morscy żeglarze, żebyś wiedział, w przykrym razie naydroższe sprzęty w morze wrzucają; ale ty nic na tem nie stracisz, ja ci za twoje, co zechcesz, zapłacę. Trzeba też i tobie folgować; pozwól więc na pozbycie się ich choć w części przynajmniej.

— Co? pozbyć się tych rzeczy ze statku? ozwał się Jurga, poglądając z zmarszczem na dziewicę, iak gdyby od niey naywiększą obełgę usłyszał.— Komu ciasno w moiey szuhalei, niech sobie z niey, gdzie chce, ustąpi, ale niech moiey pracy nie tyka. Bezrozumny tylko w wodę wrzuca maiątek; ja, co mi Bóg dał ręką tą zarobić, sam wprzódy zginę, niż z niey co uronię.

Chciał obrażony Wacław surowo zgromić tak zuchwałą odpowiedź, gdy

nagle uderzony z góry krzykliwym głosem. Stóy! stóy! przerażony został. Głos ten zacienki na dorosłego mężczyznę, zdał się raczey z ust pacholęcich wychodzić, ale iakim cudem z powietrza przybywał, trudno było dociec. Strapiony przewoźnik podniosłszy wiosło iak do obrony, patrzył w górę, pytając z zabobonną trwogą: A to iaka zmara?—i równie iak Waclaw nie nieodkrywał.—Stóyćcie, na miłość boską! ponowił dobitniéy głos wychodzący z wierzchowi-ny bliskiego wiązu, który mglista para zaledwie dostrzeżonym czyniła.—Oto macie kilkanaście dukatów, brzęcząc niewidzialnym workiem, wołał z drzewa głos nieznaiony; tylko zlituyć się, weźcie mię z sobą! Na dźwięk złota rozchmurzył twarz Jurga; rzucił okiem po bokach szuhalei, iakby iéy pytał, czyli może ieszcze

przyjąć ciężar iednego człowieka, i osądziwszy w swém zdaniu, cóż Pannie uczynim? pytał Wacława.

— Trzeba nieszczęśliwemu dać pomoc, odpowiedział bez wahania się młodzieniec, trzeba go ratować koniecznie, choćbyśmy się sami na niebezpieczeństwo narazić mieli.

— Podiedz, podiedz, zaklinam cię! błagała Marya, wszakże ieszcze mamy łódkę do rozrządzenia.

— Co mi ta łódka, iak lisi ogon z tyłu; więcéy z nią kłopotu niżeli pożytku, odparł przewoźnik, i obracając głos do drzewa: radbym was wziął, Bóg widzi, ktokolwiek iesteście, ale szuhaleia moja tak iuż iest pełną, że ledwo nie tonie. Gdybym miał kogo ieszcze na nią zabierać, musiałbym się pozbyć ładunku więcéy, iak na sto talarów. Człowiek krwawo na niego pracował. Poczekaycie lepiéy

na tych, cò próżno iadą, wszakże was tam ieszcze woda nie topi; u mnie nie ma miejsca. I chciał statek odpychać, gdy zatrzymując go z przeciwnéy strony Waclaw, podiedź natiychmiast pod drzewo, rozkazuję ci! zawołał groźno.

— Nie mam tylko kilkanaście dukatów w tym worku! ponowił z zasmuceniem głos z drzewa, nie wiele ciężę i na nayıpierwszym brzegu przyrzekam wysiąść; lecz mam z sobą broń, strzelam pewnie i widzę cię doskonale nieużyty czleku.

— Masz broń, a czemuś z niéy o ratunek nie wołał? to niech cię twoja broń ratuie; ia ci pozwalam, strzelay, strzelay sobie na mokrey panewce; nie mam czasu za kilkanaście czerwońców słuchać twoich puków. odpowiadał z urąganiem przewoźnik, i chciał z miejsca odpierać, gdy huk

strzału rozległ się po wodnój przestrzeni, a dziura w boku statku, tuż koło Jurgi, przez którą sączyć się woda zaczęła, dała znać, że się nie darmo odgrażał.

— Czy mi go kaci nadali! Ta zma-
ra przeklęta nie wiele może sobie
poradzić na drzewie; ale bardzo ie-
szcze może drugiego zbawić życia,
mruczał przewoźnik, zatykając na
prędce dziurę uczynioną, gdy Wa-
claw koiąc przestraszoną Marię wy-
mawiał nieznaiomemu śmiałość iego
postępku, iż mógł zabójstwo popeł-
nić na osobach, które go szczerze pra-
gną ratować.

— Przepraszam, przepraszam; mnie
nie czas słuchać morałów. Ofiaro-
wałem, co tylko mogłem za to, co
inny pewnie przez ludzkość byłby
uczynił; a gdy to nie było przyię-
tem, musiałem się udać do więcey

obowiązujących sposobów. Mam ich jeszcze dosyć pod ręką. Ale proszę się nielekać; ja dobre mam oko, i pewno tych twardych chłopa piersi nie chybię, jeśli się dłużej da prosić.

— Bodaieś zczes z twem okieną! skrobiąc się w kudłatéy głowie mru-
czał zachmurzony Jurga. On, albo
mię zgubi, albo mi szuhaleię iak
przetak podziurawi.

— Gorzék iak ci dziurę wełbie
wywierci; nie będziesz miał czem iéy
zaprawić. Ja ci radzę krótko się na-
myślać, powtarzał Wacław.

— Kilkanaście czerwóńców, mówi-
cie? głos podnosząc zawołał przewo-
źnik, to zły targ; czyż nie lepiéy
powiedzieć od razu dziewietnaście,
czy tam osimnaście, niżeli te kilka-
naście niewiedzieć iakie.

— Powtarzam, nie mam więcéy

nad to, co ten worek zawiera, liczyć na drzewie nie mogę; może się w nim i więcej niż dwadzieścia znajdzie.

— To dobrze, ale czy nie można-
by jeszcze co na piwo narzucić.

— Umieram z zimna i wysilenia, ponowił głos na drzewie, ale mam jeszcze dość mocy, żebym z drugiey rury, i dwóch innych wystrzelił.

— Pięknie prosicie, nie ma co mówić. Czekać, czekać, na co darmo proch psować, wołał Jurga podpływając z statkiem pod drzewo, i zaglądając ciekawie w jego gałęzie, które się szeroko rozciągały nad wodą. A gdy między niemi ujrzał uczepionego człowieka, rzucił najszybciej w szuhaleię pieniądze, tylko ostrożnie, tu, w sam środek, mówił uprzejmie. Gdy woreczek ledwabny, dość ciężki, spadł mu w ręce, podkręcił statkiem pod nogi niezna-

iomego, który lekko weń spuściwszy się z drzewa, ukazał w sobie młodzieńca szczupłéy, zgrabnéy postaci, w krótkiéy po stan, zielonéy, siwym barankiem podszytéy katance, wczarnych manszestrowych czechczerach, i w pasie iasnym skórzanym, z którego wyglądała para małych krócie w srebro oprawnych. Nie miał iuż na głowie nakrycia; znać ie stracił ratując się w powodzi; ale włos iego ciemny, rzęsimy, wdługie loki spadaiący zdał się dobrze zastępować ten niedostatek. Mimo otarcia, które lekko w kilku mieyscach białe iego czoło i twarz czerwieniło, oczy żywe i usta świeże, tchnęły wyrazem uradowania. Dzięki ci mój przyjacielu i przeproszenie za szkodę w statku! ozwał się do przewoźnika, który zajęty obliczaniem kieski, niezważaiąc na tę grzeczności, zdał się dość być

rad z tego, co w nięý znaydował. A nadewszystko czułe dzięki państwu! mówił z dworską układnością obra-
cając się do Wacława i Maryi, żeście się raczyli okazać tak czułemí na mo-
ie, nie bardzo pocieszne, na tym wią-
zie, siedzenie. Ale iakże kora iego
jest szorstka i twarda! mówił zaciera-
jąc białe i kształtne swe dłonie. Moia
własna to wina, dziś ieszcze rano tak
byłem bezpieczny, szczęśliwy nawet
na niedalekięý, iak miarkuieý, stąd
kępie; zachciało mi się dostać do Da-
widowa , i bliski zatonienia na roz-
prutéý tratwie, musiałem, rad nie rad,
drapać się na drzewo. Ale co widzę?
ia się tu znayduieý wśród moich
znaiomości , choć nie bardzo tkliwe
przyominaiących zdarzenie.

— Dla nas bardzo te iest miłem ,
przerwał Wacław, rozumiejąc, że ma
do czynienia z iednym z możnych e-

legantów, ubiegających się o rękę Maryi, a którego postać dość zgadzała się z uczynionym mu o nim opisem, bardzo miłem, gdy zdarza nam szczęście poznania go w tém mieyscu, choć prawdziwie nie bardzo sposobnem na jego dobre przyięcie.

— Ach! nie o osoby tu idzie. Nie miałbym śmiałości tak się do was odzywać. Ja chcę mówić, że poznaię mego konia, który mi dziś rano tak haniebnie usłużył; ale to nie jego wina, że krótsze miał nogi od głębokości téy wody przekłętéy, mówił zbliżając się do wierzchowca i klepiąc go białą swą dłonią po szyi. Nieborak! i on znalazł wzgląd tych samych osób, którym nieszczęśliwy pan jego winien jest życie!

— Nieborak, czy nie nieborak, przerwał Jurga, poglądając z niechęcią na pieszczoty nieznaíomego; ale on

ieszcze nie zapłacił za to, żem go z wody wyciągnął i wziął na szuhaleię.

— Przystałbyś na tem czém cię pan opatrzył, odezwał się Wacław.

— Ach! mój miły, ratować konia na wodzie, przydał nieznaiomy, to ieszcze bardzo mała wzajemność za to, co te biedne stworzenia czynią dla ludzi na ziemi! Prócz tego, nierozstaiem się ieszcze; będziemy mieli czas, ieśli państwo pozwolą, porachować się na naybliższym lądzie.

— Na co się mnie rachować na lądzie; albo to ia furman, albo iaki włóczęga niepewny, żebym się koniecznie na lądzie rachował. Jestem sobie przewoźnik, szuhaleia mój ład, nie szeroki zapewne, ale bezpieczny dzięki Bogu, i na nim muszę moją należytość od konia odebrać.

— A ia lądowy człowiek, przyzwyczajony do gruntu pod nogami,

niechęć nic czynić na wodzie, ozwał się z nieiaką żywością nieznaomy dobywając iedwabną chustkę z kieszeni, którą zaczął ocierać wilgoć z króćc. Ale wiesz co mój przyiacielu, dla zachowania pewnego śrzodka słuszności, poczekaymy aż przyszła zima zetnie lodem wody, wtenczas każdy z nas mieć będzie pod nogami, co lubi.

— Inaczéy wesoly ptaszku śpiewałeś niedawno na drzewie; poczekay, odczepisz się nie długo i konia i tych pukawek; poglądaiąc nieufnie na obróty nieznaomego około bronj, mrucał pod nosem napuszony Jurga i biorąc się nagle do wiosła; hola! co nieuiedziem, tego doma nie będzciem! zawołał na Wacława, czas drogi woda przybiera, trzeba ruszac.

Iakkolwiek nową osobą obciążony statek zdał się głębiey cokolwiek za-

nurzać, nie był to jednak ciężar tak znaczny, żeby trudniejszą czynił żeglugę; szedł zatem prawie z równą, iak wprzódę łatwością. Daleko więcéy wewnętrzny skład iego nie na rękę był podróżnym, tym hardziéy, że ciągła ruchomość nieznaiomego, który w iednéy chwili wszędzie się znajdował, na dość iuż ciasnym przestworzu, niezmiernie go natrętnym czyniła dla szerokich i zamaszystych ramion przewoźnika; a może bardziéy ieszcze dla spokojnego Wacława, który w nim coraz iawniéy zdał się postrzegać ukrytego rywala, co iak on śpiesząc na klepczaki, znalazł sposobność złączenia się dowcipnie z celem swych chęci. I w rzeczy saméy, dziwne iego postępowanie, bardzo usprawiedliwiało to podeyrzenie. Raz układny młodzieniec obracaiąc się do Maryi odzywał się do niéy z grze-

cznościami słodząc iéy pięknym wodnych widoków obrazem przykrość położenia; choć dla mgły ich zarys nie bardzo był świeżym, i tak z nią poufale rozmawiał, iak gdyby ich znościomość sięgała czasów naydawniejszych; drugi raz przemykając się do Waclawa tłumaczył mu czułą swą wdzięczność z tą śmiałą ufnością, która tylko wyższego stanu osobom przystoi; przechodził potém do Jurgi złote mu obiecuiąc góry, żeby go tylko iak nayprędzéy na pierwszym brzegu wysadził.

— Kiedy wam tak przykro na wodzie, odezwał się znudzony przewoźnik, czemuż dla pośpicchu niewieźmiecie się do wiosła; statek szedłby prędzéy i wy zagrzelibyście się cokolwiek; miasto co się kręcąc pod ręką, nam tylko przeszkadzacie pracy.

— Dziękuję ci mój kochany żeś

mi przypomniał ogrzanie się, w samej rzeczy iak na dni kwietniowe chłód iest dość przenikliwy, odpowiadał sadowiąc się na worku owsa u stop Maryi i ściągając na zwilgcone swe nogi kozuch przewoźnika. Radbym, dalibóg radbym pomógł wam pracy, tylko, że się bardzo mało znam na żegludze i boję się, żebym zamiast pomocy nie był przeszkodą. Mgła ustępując zaczyna przecudny wieczór odkrywać! Czy pani lubi muzykę? pytał dobywając z kieszeni dwie części hebanowego flecika, który w całość spaiał.

— Lubię ją, odpowiadała dziewczica, w szczęśliwój dobie; w każdym iednak razie przekładam nad nią użyteczne zatrudnienia.

— Ja zaś ją zawsze lubię, a w przeciwności tym się nią więcéy zajmuję, że mi przypomina szczęśliwe chwile

przeszłości, mówił niosąc do ust flecik, na którym zaczął z cicha wiejskie piosnki przegrywać, i wnet przedstawszy: czy widzi pani, zapytał, iak ślicznie promień słoneczny pada na drzewa tego Ostrowia, co go iuż wiosna zda się krasić swą zielonością! Jak tam dobrze być musi! czy nie należałoby na téj kępie wypocząć? rozumiem, że stąd nie będzie więcéy iak ćwierć mili.

— To nie odemnie zależy, odpowiedziała nieśmiało dziewczica, i obracając głos do przyjaciela: Waclawie! tyś zmordowany! możebyśmy się tam co dowiedzieli o naszych, wszak w téj stronie Słoboda?

— Jeśli tylko pani rozkażesz, rzekł Waclaw, prócz tego dziś w Zahaci nie będziem.

— Co? dziś w Zahaci nie będziem, odezwał się Jurga; zapewne, gdybym

wstępował do każdéy z Kurennic (1) iak włóczega iaki, co iadąc z iarmarku, żadnéy karczmy nie minie, tobym i za tydzień nie był w Zahaci. Jeszczeby mię gdzie w krzakach iakie głodne hultaie z pracy obrali; nic z tego nie będzie; mamy ieszcze piękny dnia kawał, wiatr mrokę rozpędził, możemy sunąć.

Trudno było dać opór tak przemożnéy kresce. W rzeczy saméy roziaśnione po zachodzie niebo, dozwalało w okrąg widzieć nayodleglejsze przedmioty tak doskonale, iak gdyby ieszcze przyświecało słońce. Jest to zwyczajny skutek odbitego z góry światła o sklistą wód przestrzeń, ale iéy iednostayność, choć przy naypiękniejszym wieczorze, nie bardzo mo-

(1) Kurenice, czyli Kurnice, są to budy na kępach, w których mieszkańce ryby wędzą.

gła zachwycać podróżnych. Był to najczęściej brzeg, iaki daleki, klinem w wodny wpadający rozłóg i szarawą zaroślą odznaczający się na tle niebieskiem; długie pierzaste wierzchołków oczeretowych smugi, wahające się na głębi z poruszeniem fali, tratwa w oddaleniu równomiernym ruchem płynąca, sznury dzikich gęsi krążące w powietrzu, lub niekiedy na wlekać się drzewie, lub pniaku, siedzące pokornie zwierzątko iakie leśne lub domowe, które przed zatopem szukało ratunku; takie widoki zdolne uprzyjemnić chwilową przeiażdżkę, w mozolnéj żegludze podróżnych, niewiedzących, gdzie i iaki nocleg ich czeka, a nadewszystko przy nienajsłodszym towarzystwie Jurgi, nie mogły tylko tęsknotę pomnażać. Przydać do tego trzeba, iż ten sam wiatr co mgłę rozpędzał, poruszał wodę, która zbiera-

iąc się w fale pracowitszą zaczęła czynić żeglugę.

Tymczasem nowy nasz Amfion na worku słodząc sobie przykrość podróży, co raz śmielszych tonów z swego flecika dobywał. Patrzył na niego z niechęcią stękający pod wiosłem przewoźnik, co raz mu głośniejsze czyniąc przymówki; lecz gdy te na zaciekłym w tęsknych pomysłach muzyku, żadnego nie czyniły wrażenia: Niech diabli porwą taką robotę! rzucając wiosło na statek, zawołał rozgniewany; człowiek pracuie ledwie krew z ciała nie pryska, a ten mi gwizda pod nosem, i jeszcze odzież ludzką będzie poniewierać. Siadaymyż kiedy się mamy weselić, zobaczym iak daleko zaiedziem; mówił zciągając z nóg nieznaiomego kożuch, który kładł pod swe siedzenie i na nim usiadał.

— Jurga! czyś ty oszalał, zawołał

Wacław, podwajając siły dla przytrzymania szuhalei; pęd wody statek unosi, iesteśmy na dole....

— Może będziem i na dnie. A czemuż ten panicz co dopiero na łądzie ma się ze mną o konia rozmawiać, zamiast swęj dudki, nie weźmie się do wiosła, żebym go zdrowo do rachunku dostawił. Woda fale ledwo w statek nie wrzuca, my pracuiem iak woły, a on sobie siedząc, będzie przygrywał gdyby pastuch za trzodą.

— Tylko się nie gnieway mój Panie Jurga, wszakże moje granie nie powiększa ciężaru statku; a ieśli ci o to idzie, żebym niepróżnował, nic łatwiejszego iak ci pomagać, byleś mnie iak nayprędzey na brzeg wysadził, odpowiadał nieznaiomy chowaiąc flecik, a biorąc się do wiosła, którym niezręcznie obracał. Szczupłe iego ręce nie wprawne do tego rodzaju pra-

cy, w której zręczność w utrzymaniu równowagi naywięcej działa, iawnie okazywały, że pierwszy raz w życiu mają do czynienia z tak obcem sobie narzędziem. Zaledwie końcem wiosła zagarnął wody, iuż ztrwożony, żeby się nie przechylił, zatrzymywał się nagle. Patrzył z pogardą na tak niezręczną robotę zachmurzony przewoźnik, i iakby biednemu nicukowi zemstę gotował, wzięwszy się na nowo do pracy, z zaciętem milczeniem prowadził statek. Wieczór wypogodzony cieniem swym zaczynał okrywać odleglejsze przedmioty. Dalekie lasy, kępy i zarośla niewyraźne w swych zarysach, co raz bardziéy niknęły w niedoyrzanéy ciemności; sam tylko Ostrów, cel życzeń nieznaomego; zbliżony kierunkiem żeglugi, gęstwą czarnych swych sosen, ieszcze nieiaki cień wśród srebrnych fali,

odznaczał. Poglądał z utęsknieniem nieznaomy na tę uchodzącą przed wzrokiem jego ostoję, chciał raz jeszcze wznowić potrzebę zawinienia do brzegu, gdy silnie popierany statek miłaiąc sterczący nad wodą pień skrzy-
pnał dnem przeraźliwie, i tak opornie stanął w mieyscu, iż wiosło pę-
kło w ręku Wacława.

— Otóż masz! czartu na śmiech, nam na zgubę! zawołał Jurga, rzucając wzrok niespokoiny na dno i boki statku. Siedliśmy na haku.

— Odpieray w tył! mówił Wacław wydzierając z rąk nieznaomego wiosło, z którem stał beczynn timer, gdy Marya zerwawszy się z mieyseca, załośnie zaczęła trwogę obiawiać.

— Co robisz dla Boga! zawołał przewoźnik na Wacława, usiłującego statek wykręcić. Gzy chcesz, żeby się boki szuhalei rozpadły?

— Panie przewoźnik! odezwał się nieznajomy drżący z przestachu, ja mam jeszcze cokolwiek przy sobie pieniędzy, tylko czy myślisz, że nie pójdiesz na dno? możeby dla ratunku należało wystrzelić?

— Tożście nie ślepi! nie zważając na nieznajomego, wołał ciągle przewoźnik, że szuhaleia między konary sosny wpędziła! A czy ja Pohibiel tu wsadził! mówię, dajcie pokóy, bo przepadniem na wieki.

— Ale jużci tu wiekować nie będziem, noc następuje, trzeba coś radzić, odpowiadał Wacław.

— Radzić, we trzy sążnie głębiny, to mi mowa rozumna, zanurzając hak długi powtarzał Jurga; to radźcie, jeśliście tak mądrzy; ja w nocy radzić nieumiem, a mam już dosyć za moje. Jeśli woda przybędzie, podniesie się statek i bez waszój rady; jeśli opa-

dnie, zostaniem z nim na drzewie iak bociany w gniaździe; bądź co Bóg nazaczył, tymczasem trzeba się po krzepić, mówił, sadowiąc się wygodnie na złożonych zdobyczach, i uznawszy z nich kawał słoniny z dobrą porcją chleba, iadł i popiiał z baryłki, iak gdyby się w naybezpiecznieyszém miejscu znaydował.

— Ta bestya wybieraiąc się na tamten świat, nie chce ten z próżnym żołądkiem opuścić, odezwał się po chwili nieznaiony do Waclawa, który z tłumionym niepokoim poglądał na zleknioną Maryę.

— Iego to iest żniwo, a mybyśmy cieszyć się powinni, ieśli nas umyślnie na téy sośnie osadził, odpowiadał Waclaw; gdyż tak dobry apetyt, nie zwykł obiawiać ostatecznéy chwili.

— Waclawie! to iest gorzałka trzy razy pędzona! odezwała się Marya

śmiertelną trwogą przeięta, poznając baryłkę z której przewoźnik wychylał. On głowę straci, nas czeka los nayokropniejszy.

— Jurga! zabrał głos Wacław, iedź z Bogiem, ile ci się podoba, ale day pokóy gorzałce. Ona w nieszczęściu nie do dobrego prowadzi, w nieszczęściu staie się naywiększym człeka nieprzyjacielem; ieśli niedbasz o siebie, pomniy przynaymniéy, że na twéy głowie masz życie trzech ludzi.

— Tak, zapewne, życie trzech ludzi, z których łaski i czwarty może duszę zgubić; będziem, będziem, gdzie Bóg naznaczył, odpowiadał niewzruszony żarłok zakrapiając ciągle obżarstwa swego zakąsy. Czyli to właściwy żeglarzom w przykrym razie zwyczaj szukania w trunku pociechy, czyli chęć zastraszenia podróżnych, żeby ich mieć po swéy woli; zostawał

w tym stanie czas dłuźszy, niż zwyczajna potrzeba zaspokoienia głodu, choćby naydokuczliwszego, wymagaćy powinna; a co większa, bynajmniéy nie zdał się być trunkiem uiętym. Noc iuź była zupełna, iasność pozostała na zachodzie podłużny swóy promień przeciągała po spokoinéy głębinie; nikt iuź z tratwą nie płynął, okropne do koła panowało milczenie, przerywane tylko niekiedy dzikich kaczek w oczeretach kwakaniem; Jurga ieszcze iak wól leniwo żuiący, nie rozstawał się z ulubioną swą strawą. Waclaw w tey beczynności zaięty Maryą, starał się w iéy duszy obudzić spokoinieysze czucia, dowodząc, że może w oczekiwaniu na podniesienie się wody, noc na statku przepędzić wypadnie; lecz że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, póki całość iego nie dopuszcza wkra-

daniu się iéy wewnątrz, i że może bez obawy oddać się spoczynkowi, którego tak potrzebuie. Marya zdała się wierzyć pocieszającym słowom przyjaciela, ale nieznaiony oparty o swe go konia, mało w nich pokładał ufności, patrząc na topiącego w trunku rozum przewoźnika, i iakby z innéy strony wyglądał ratunku, często wzrok niespokoiny wiódł po ciemnéy przestrzeni.

Pokrzepiony nareszcie do woli Jurga, dźwigając się leniwo z pośród swych zbiorów, obracał głos do statku, iak przezorny oyciec, gdy napomina nieroztropne dziecko. Widzisz ładaco! a niemówiłem, że się złapiesz? wryłaś mi się bestyo w pniaki, gdyby wieprz w bruzdę, i prosisz teraz, żeby ci pomódz. A iak tu ci pomódz? Jużci ia wiem, że trzeba ci ulżyć. Oy, koń ten koń! Żał mi ciebie gniador

7*

szu! mówił, uderzając niemiłosiernie w grzbiet konia szeroką swą dłoń, ale to nic nie pomoże, ty musisz najprzód ustąpić.

— Jak to? ja miałbym być znowu narażony na stratę konia? przerwał obudzony z swego dumania młodzieniec. A już też to nadto! Słusznieby wypadalo, pozbyć się najprzód téj kupy zapasów, tych sadeł, poćciów, szynek, baryłek, które pewnie więcéy niż mój koń zaważą.

— Czy mniey czy więcéy, wam nic do tego, odparł przewoźnik, niech was praca moja w oczy nie kole; iam ią nie na to z wody wyciągał, żebym znowu w nią wrzucal; to się ratować nie umie; ale wasz koń iak póydzie na wodę, ieśli nie będzie dosyć, to i wy na niego wsiadłszy, gwizdać sobie będziecie mogli, ile się wam tylko spodoba.

— Czy słyszysz? obracając wzrok niespokojny do Wacława, mówił nieznaomiomy. On mnie chce na wodę wyprowadzić; zaplął sprawę i szuka méy zguby.

— Jurga! odezwał się Wacław. — Pomniy, żeś wziął dobrą zapłatę; ia tego Pana krzywdzić niedozwołę, trzeba radzić, iak można, mamy w zapasie łódkę; koń się zapewne na niéy utrzymać nie zdoła, ale możnaby przelożyć część twoich rzeczy.

-- Co? ia miałbym na to korytko pracę moją oddawać, a iużby mi chyba przyszło na zgubę. Niech kto chce tam siada i co chce znosi, ia póki jeszcze na moiéy szuhalei mam ką przestronny, nie potrzebuję cudzych szukać statków.

Zastanawiano się zatém, co czynić wypada w tak nagléy potrzebie. Upor przewoźnika i iego niedbałość na nie-

bespieczeństwo tak iawne, usuwać wprawdzie zdawały się obawę ostateczności; ale ta śmiałość pozorna mogła być skutkiem zagrzaną głowy, i tym słusznieszą przejmowała trwogą, że przybywająca woda wcale nie podnosiła statku; który w śródnicy swéy części pogrążonéy naybardziéy, ledwo iuż na cał swych boków ukazywał nad wodą. W tak smutnem położeniu, nieznaiony naypierwszy przyrzekał przenieść się na łodkę.

— Wielka mi pomoc, komor z woza! odezwał się Jurga, tu żeby się nie kapać, trzeba nayprzód konia z szuhalei sprowadzić, a iakto nie nada, póydzie każdy, gdzie zechce.

Niepozwalał żadnym sposobem nieznaiony na wyprawienie iego na wodę przewidując dobrze iak trudne byłoby, ile w nocy, napowrót go dostanie; samo nawet spuszczenie tak

bystrego zwierzęcia mogłoby zrzucić wywrót szuhalei, lecz czyniąc z siebie co było w jego możności, wziął wiosło w rękę i zbliżywszy łódź do statku wstępował w nią śmiało. Ubycie iednéy lekkiey osoby, chociaż nie podniosło statku do równowagi z wodą, dawało iednak przez iego wzruszenie poznać, że za uięciem znaczniejszego ciężaru można mu będzie pomodz do wydobycia się z téy więzi. Postrzegł to zaraz uradowany przewoźnik i obracając się do Maryi: a wyż to panno nie pomożecie? iuż mało brakuie, żeby się szuhaleia podniosła.

— Zostaw ją w pokoju, przerwał Wacław poważnie. My wprzód zginem, niż się ona narazi, wiesz, że pan ten nie do wiosła stworzony; ia przeydę na łódkę.

— A mnie kto tu pomoże? ponowił Jurga.

— Owszem, odezwał się nieznaomy obracając dość zręcznie czołkiem około statku. Sam niewiedziałem o moich talentach, jeśli się tylko pani niełeka...

— Ale czego się ma lękać dla Boga! dodał przewoźnik, albo to pod czołnem nie ta sama woda płynie co pod szuhaleią? Jużci iak zepchniem z pniaków, wezmiem was znowu na statek.

Marya, u której słowo Jurgi było wyrokiem, spóyrzała lękliwie w oczy Wacława, iak gdyby czytać w nich chciała, co iey czynić należy; a gdy przewoźnik co raz żywiéy nastawał, mimo oporu przyiaciela przeszła na łodkę i usiadłszy w tylnym iey końcu, czekała na pomyślny skutek swego ustąpienia. W rzeczy samey ob-

leńczony statek zaczął się lżeyszym końcem cokolwiek podnosić. Zostało tylko równe na wszystkie iego części rozłożenie pozostałego ciężaru. Gdy tą pracą zajęci byli Waclaw z przewoźnikiem, nieznaomy tym czasem, probując sił swoich, coraz się bardziéy od suchalei oddalał. Nie chcę, niechcę tak daleko! mieliśmy czekać na mieyscu! mówiła zaczynająca się lękać dziewczica. Proszę wrócić zaraz do statku, ciemność mię trwoży, ach! to nadto żart posuwać, powtarzała głośniéy; nakoniec po chwili: Waclawie, ratuy! on mnie unosi! ratuy! ratuy! głos iéy przeraźliwie zawołał. Niegodziwy! życiem odpowiesz! odezwał się głos u statku pogromczy i tuż za nim szum łoskotny na wodzie, iak gdyby ciężar iaki wpadł w odmęt, i drugi za nim da-

leko potężniejszy rozległ się po przestrzeni.

— Czy słyszysz! Wacław w wodę się rzucił! tonie! miéy litość! wołała zrywając się z łódki dziewica. Wróć! ach! wróć, day mu ratunek! wszystko będę ci winna!

— Nie trwoż się Maryo! przymuszając ją do siedzenia, mówił ośmielony żeglarz, to nie Wacław, to przekłete zbiory tego piiiaka spotkały się z wodą. Ja już nie wrócę, ale wierz mi Wacław domyśla się, żeś w bezpiecznem iest ręku, i pewnie życia tak drogiego nie narazi na stratę.

Żem w bezpiecznem iest ręku! wołała łamiąc ręce dziewica; to więc już nie żartuiesz! ach! ta głębia, którój mię oszczędzasz pewnieyszą, może byłaby dla mnie ochroną niż twoia dzika opieka! i gdzież mnie wiedziesz, i iakie są twoie zamiary! czyż może

być żebyś chciał zguby dwóch ludzi co się ubiegali o zachowanie ci życia? Nie, twoja postać szlachetna, twoja hojność, grzeczność, tkliwość, nie taką nam zapłatę wróżyły; nie, ktokolwiek iesteś, ty nie możesz być tak okrutnym. Ach, wróć, wszystko ci przebaczym! powtarzała wylewając łez potok.

— Biedne stworzenie, ty moją duszę rozdierasz! odezwał się wzruszony żeglarz. Czemuż nie chcesz mi wierzyć, iż właśnie dla tego, żem wam życie winien, chcę twoje ocalić! O! bądź pewna że się bynajmniej Wacława nie lękam, ani mu twojej miłości zazdrozczę, iedno ust moich słowo rozbroić iest w stanie nayzawziętą jego nienawiść, a zatém i ty się mnie bynajmniej lękać nie powinnaś. Ale ja się lękam tego dzikiego opoia, który niemając względu ani na

me proźby, ani na mój datek, pewnie byłby mię z koniem na głębię wyprawił, gdybym był ucieczką nie uprzędził jego zamiaru; kto wie nawet, jaki los dla ciebie gotował, wierz mi, on iest na wodzie tem, czém rozbójnik w lasach, daruy mi zatém, że przypadek przeznaczenie twoie na chwilę z moim połączył; będziesz mi wkrótce dziękować, tylko bądź spokojną.

— Ja mam bydz spokojną! ia mam ci dziękować! Dziwny człowieku! Czyż możesz tak wiele sobie pochlebiać, żebym na téy kruchéy łódce, wśród tych wód nieznaných, choćby nawet zamiary twoie były nayszczersze, żebym ia więcéy ważyła, płochości twoiéy odwagę, niż wprawę człowieka choć naydzikszego obok Waclawa! Ach! Waclaw, Waclaw ostatnie iuż może tchnienie zamyka!

— Maryo! rzekł nieznaiomy, nie

sądź, że się ty iedna trwożysz w téy chwili o to, co ci iest naydroższém na ziemi. Różne są położenia ludzi na świecie! ja iestem równie iak ty nieszczęśliwy, nieszczęśliwszy może, i dalszy od téy nadziei, która się tobie wśród téy pozornéy przeciwności uśmiecha; iednakże nierozpaczam, i biorąc rzeczy iak się wzięść daią, nie odrzucam wcale sposobów, któremi mię może opatrność chce doprowadzić do szczęścia mego. Czy pamiętasz na ten promień zachodni, co niedawno świecił w téy stronie na drzewach Ostrowia, gdzie nam Jurga udać się przeszkodził? Jam w téy chwili wyrzucił tam iskierkę ognia, który postrzeżony ieszcze ze statku był moją iedyną nadzieją.

Gdy tak starał się cieszyć smutną towarzyszkę dziwny iący wybawca, błysnął wśród nocnéy pomroki żywy

promyk ognia, którego jasność powłóczyła cicha wód głębia. Witay! witay! gościu pożądanym! zawołał żeglarz pełen radości. — I możeszże jeszcze narzekać? mówił do dziewczycy, że cię wydzierając wilgoci, zimnu i ciemności, prowadzę do światła, ciepła i bezpieczeństwa? Ach! wierz mi, jeśli Waclaw cię kocha, nie może tylko być niewdzięcznym tej mieysc zamiany; a ten sam ogień co naszey drodze przyświeca, pewnie i iemu wkrótce posłuży za gwiazdę ochronną, którą nas z nim połączy, tylko bądź spokojną.

Zasmucona Marya nie nieodpowiadała na te niewczesne sposoby cieszenia, prosila tylko żeby, jeśli nie ma nadziei wrócenia do statku, prosto i iak nayprędzey przybyła do uyrzanego światła. Nie potrzebował chłodem i wilgocią przeięty żeglarz, słu-

chać zachętów, żeby cały siły nieużył do iak nayrychlejszego dostania się w pożądané miejsce. Szybkim pędem posuwana łódka ku światłu, ukazywała iego co raz rozciągleyszą iawność. Ziawiły się za przyśpieszeniem żeglugi i inne miejsca ożywione tym dobroczynnym promieniem, które, mniéy lub więcéy od siebie odległe, dawały poznać podróżnym, że się zbliżaią do miejsca, które więcéy niż wymagała potrzeba, mogło ich obdarzyć obszernością swoją. To są tratelniki zapewne zbieraiący drzewa rozproszone po wodzie, odezwał się żeglarz, omiiaiąc brusy i bale, które w tém miejscu ukazały się gęsto pływaiące. Lud to trochę podobny do naszego Jurgi, ale spodziewam się, że nam nieodmówi schronienia.

Tymczasem pełna iasność ogniów rozłożonych między drzewami, uwia-

domiała naszych żeglarzów; że się nie do traw, lecz do stałego lądu zbliżają. Wkrótce słuch ich uderzył wprawdzie niezgodny, lecz dość wesóły głos trąb i piszczałek, połączony z dźwiękiem skrzypek, który zdał się z dalszój strony przychodzić. Był to nowy powód dla naszego żeglarza do domysłów iak naypochlebniejszych; omiiał z prędkością przeszkody, zwyciężał zawady i stanął szczęśliwie u brzegu, na którym wśród bud różnego kształtu z łubów i kory iodłowój skleconych, około rozłożonych ogniów zwiiało się dymem okopcone wieśniactwo. Jak tylko Marya uczuła ląd pod łódką, nieczekaiać aż iéy towarzysz bezpieczniéy przybiie, wyskoczyła na brzeg, ażeby się iak nayprędzój wśród ludzi dostała. Zaraz ią na wstępie otoczył tłum uzbroiony w tyki i wiosła, pytaiać cze

go żąda, i że bez okupu za przystań kroku więcéy uczynić niemoże, chybaby skór niedźwiedzich lub ryb wędrownych znaczną część zakupić chciała. Tak obce dla dziewicy towary, i dalsze z wyspiarzami rozmowa, dały iéy poznać, że zawinęła do brzegu, na którym pod dozorem cyganów, znayduie się hodowanie niedźwiedziów, gdzie wyćwiczone dobrze w skokach i tańcach, naymując niedźwiedzniki, puszczaią się z niemi w świat za zarobkiem; możeby Marya niemając pieniędzy na opłacenie wstępu, musiała by wrócić na swój szczupły statek; i na nim noc nie pewną przepędzić, gdyby szczęśliwym przypadkiem czarno obrosły iakiś stary wędrowiec nie wstawił się za nią, biorąc ją na swą porękę. — Poznała w nim zaraz Marya Cygana z Smorgoń trudniącego cię wodze-

niem niedźwiedzi, który przechodząc z niemi nie raz Klepczaki, łaskawie tam był przyjmowany; powierzyła się mu więc z ufnością i szła z nim w głąb Ostrowia dla wyszukania schronienia. Zbiór rozłożonych po różnych stronach między drzewami ognisk dowodził, że to miejsce stało się przytułkiem bardzo znaczney liczby mieszkańców zaskoczonych powodzią; kupcy przesuszający przy ogniu towary, wieśniacy otoczeni swemi dobytkami, niewiasty tułące niemowlęta do łona, gdy młode chłopaki upolowawszy gdzie który, chroniące się na to Ostrowie zwierzę, sarne, lub zająca, obracał ie przy ognisku na różnie, otoczony pochlebna tłuszcza, która zdała się do tego bankietu zalecać; tu kurnicy w oświeconych swych budach sprzedający zgłodniałym ryby, piskorze,

kurki wodne, tam trunek okazujący; gdzie indziej obok dźwięku kobzy, lub dudy cygańskiej, głos narzekania na pochwyconą rzecz jaką przez cygana lub żyda, którzy w tym zamieszaniu obłowu szukali; wszystko to wystawiało widok dziki, uderzający, ale nie dla Maryi, której jedynem było zajęciem oyciec i Wacław.

Przebywszy ten roztoż oświecony; w którym starała się odkryć kogo z znaiomych, któryby iey iakieykolwiek udzielił wiadomości, wchodziła z swoim przewodnikiem w więcéy okrytą ustron drzewami, wśród których wznosiła się porządna na wzgórzu chata, mieszkanie bartnika strzegącego pszczoł dzikich téy części lasu; przyięła ią tam na zalecenie cygana żona gospodarza, a znaiąc z imienia oyea Maryi, wszelkie ofiarowała iey wygody na iakie tylko

zdobyć się mogła. Tymczasem dobry iéy przewodnik, który iuż wiedział przyczyny iéy smutku, chcąc ją rozerwać prosił, żeby pozwoliła okazać przed sobą talenta swych zwierząt, których tańce w Klepczakach tak wiele się podobały, że ich własną ręką karmiła; ale Marya w którój zasmuceniu najświetniejszy nawet balet nie mógłby się podobać, wołała raczój użyć tego czasu na obieganie ieszcze niektórych stanowisk dla dowiedzenia się o oycu tyle znanym w téj stronie, lecz iéy poszukiwania; na tym nocnym iarmarku, gdzie każdy był sobą zaięty, nie zaraz pożądaný odnieść mogły skutek. Każda twarz była iéy obcą, nikt nie znał pana Klepczackiego, a lęklive iéy pytania tę zwykle odbierały odpowiedź: kto teraz może wiedzieć, gdzie

iego oyciec, mąż, żona, Inb dziecie się znajduie. Jak woda opadnie porachuią się ludzie, wtenczas się dowiemy, kto na tym, kto na tamtym świecie. Tak okropne wyrazy przesywały duszę nieszczęśliwéy dziewicy! przecież od staréy wieśniaczki co z odpustu z Dawidowa wracała, powzięła pomyslniejszy ślad drogiéy swéy straty; zapewniała ią bowiem, że słyszała od tratowników, iakoby pan Klepczacki wracaiąc Baydakiem ?1) z Słobody, dawał pomoc iakiemuś dworowi o trzech karetach, które woda zaskoczyła koło Zahaci, i że zapewne zdrowo dostał się na ląd, bo miał dużo koło siebie ludzi. Doniesienie to, potwierdzone opisem

(1) Baydakiem nazywaią w Pińskim prom, z dwóch, lub trzech szuhalei złożony, pokryty pomostem i opatrzony poręczem.

postaci i ubioru iéy oycá orzezwiło nieiaką pociechą smutne iéy serce.

Ale zobaczymy iak szczęśliwie iéy unosiciel dostał się na ten brzeggościenny. Nie zaraz on mógł korzystać z tych ogniów, których iasność tak go wdzięcznie łudziła. Chciwa zysku tłuszcza kurenników zastąpiwszy z brzegu z wiosłami, długo go wprzódy z zwyczajnym swym targiem wytrzymała między wodą a lądem, nim mu dozwoliła krok naprzód uczynić. Ubiór iego niepospolity i twarz gładka, niepocześnie w podobnym razie zalety, wystawiając go chciwym rybołowcom iako bogacza, były przyczyną, iż musiał drogo wylądowanie swoje opłacić. Wpuszczony zatem na Ostrów przy pierwszym ognisku obrał sobie leżę, i gdy na niéy nocleg urządzał, uyrzał niebawnie zbliżającego się do

siebie żydka niewielkiéy postaci który stanąwszy zdaleka z politowaniem zdał się poglądać na iego odzież przemokłą. Panu by się zdało lepsze okrycie, odezwał się po chwili; ia mam futro właśnie iak na pana robione, możeby pan kupił?

— Masz futro lichy wie iakie i z kogo, odpowiedział nieznaiony trzepiąc na sobie przed ogniem zwilgoczoną odzież. Wy zawsze wszystko macie tylko nic do rzeczy. Jakiegoż rodzaju jest twoje futro?

— Przepraszam pana, moje futro nowiusienkie, dopiero co z igły, nikt go ieszcze nie nosił; piękne gęste kuny, czy mam pokazać?

— Niezawadzi, odpowiedział młodzieniec, czuiąc w sobie bardziéy niż kiedy potrzebę okrycia się. Żydek udał się na swą krypę, gdzie miał skład różnych zbieranin, które

mu powódź nabyć pozwoliła, i wróciwszy niezwłocznie ukazał piękną, zielonem suknem okrytą, sobolową szubę.

— Skąd ją masz ? mów skąd ją masz ? zawołał zbladły młodzieniec, poznając po srebrnej u kołnierza kłamrze znaną sobie odzież. Zapłać ci, co tylko zechcesz, tylko mów prawdę, skąd ją masz?

— Jako mów prawdę, odpowiadał strapiony żydek, ja zawsze mówię prawdę; ja iego niezdiał z plecy nikomu ; tytkom zwyczajnie kupił, gdzie się kupić zdarzyło , i mam na to świadki.

— Nietrwoż się , ja niechęć twój straty; nabytek twój nie przypadnie, tylko mi powiedz bez wykrętów od kogós nabyłi w iakiem było to miejscu.

— Albo ja wiem, kto on iest i w

iakiem było mieyscu, teraz mieysca nie ma, teraz woda wszędzie, a ludzie wszystko cudze; ja wiem tylko, że za te futro zapłacił podrożnemu dwadzieścia talarów.

— Daycie pokóy, nie durzcie pana, wszak wam już powiedział, że waszój krzywdy niezechce; zabrał głos stojący zinnemi koło ogniska kurennik. Przecież nasi tam pomagali i patrzyli, iakie to były te dwadzieścia talarów za któreście futro dostali. Oto tak paniczu: pozawczoray rano iechał dwór iakiś we trzy karety, iakby z Mohilowa do Pińska.

— Sześć koni rosłych w pierwszym pojeździe, winnych żydowskie? przerwał co raz niespokoiniejszy młodzieniec.

— A kto ich tam wie, czy żydowskie, czy ludzkie. Nie daleko Słobody, iak to tam w zimie przez jeziora

krótszy gościniec, lody pękać zaczęły; woda z Prypcia, gdyby się upustem waliła, państwo wyskoczywszy z karet wołało: ratuy! kto w Boga wierzy! Nasi ludzie, co tam drzewo w tratwy wiązali, dawali iak mogli ratunek ściągając karety i konie na kępy; a tu woda koło południa i kępy zabiera. Szczęściem nad wieczor zawiął pan Klepczacki z Baydakiem, co płynął prożno iakby od Słobody, a że to pan sumnienny, wziął na baydak podróżnych i obrócił z niemi za Prypeć! Owoż zwiiał się tam między kępami i nasz Jcek z swą krypką i w zamieszaniu kupił za dwa ruble to futro od iednego, co za kareta siedział, a było tam wiele rzeczy na pochwyt.

— Iakto za dwa ruble? przerwał zaperzony żydek, ty niewidiałeś iakiem dopłacał, iam mu dwadzieścia

karbowanych wyliczył, mógłbym na to przysiądz.

— To mnieysza, odparł młodzieniec, tylko mi powiedźcie, czy nikt z pierwszego pojazdu nie zginął?

— A dla czego miałby ginąć, odezwał się drugi wyspiarz, pan sypał rublami, gdyby siał pszenicę, tratwy były pod ręką, Pan Klepczacki spory miał Baydak, muszą, gdzie wypoczywać szczęśliwie.

— Spraw to Boże! podnosząc w niebo łzami zasze oczy zawołał młodzieniec. Teraz moi kochani, czy nie ma między wami kogo, coby się niał płynąć zemną w stronę kędy Baydak obrócił. Jabym dobrze zapłacił.

— Jużci teraz nikt zle nie płaci, odezwał się pierwszy, tylko gdzie po nocy go szukać.

— Ja wiem, gdzie wysiedli, przerwał ieden ze śmielszych. Stąd bę-

dzie dobre puł mili; miejsce bezpieczne od wody, gdyby gołębnik na powietrzu. Pewniebyśmy tam ich jeszcze zastali.

— Day pokóy, zabrał głos inny, w nocy Prypec nie to co w dzień. Ale gdyby pan mi dał dziesięć rubli, tobym go wyiechawszy o świcie ze wschodem słońca stawił na miejscu.

— Sami nie wiecie na co się wazycie, przerwał poprzednio mówiący; spaliście w swéy budzie dobrze, kiedy ja na Baydaka dobywałem siły. Mam szuhaleykę lekką gdyby piórko, dajcie mi dwa ruble na rękę, a za dwa drugie dostawię was jeszcze o północy na miejsce.

— Zgoda! zawołał uradowany młodzieniec dając wyspiarzowi żądany zadatek. Tylko, żeby można iak najsprędzay.

— A z moim futrem iak będzie? pytał niespokoiny żydek.

— Tybyś na dobrą sprawę powinien związany nam towarzyszyć, żebyś ukazał przedawcę, co ci tak tanio zbył towar, ale żebyś nam darmo nie ciężył, oto masz! rzucając mu kilka rubli, odpowiadał młodzieniec. Wyśpiarz, co niebezpieczeństwem przeprawy przez rzekę chciał swego towarzysza ustraszyć, widząc że najmuiący go Pan tak hoynie pieniędzmi szafuie, przyłączył się do spółki, przekładaiąc, że pomoc drugiego człowieka nigdy nie może być zbyteczną w tak niepewnéy żegludze. Po krótkiéy chwili wszystko było gotowe do drogi. Zgodzony przewoźnik zgarnąwszy w garnek żaru, wziął kilka wiązek smolnego łuczywa, i z przybranym kolegą prowadził nieznaionego do statku. Marya iuż wiedziała o da-

nym przez oycę ratunku podróżniącemu dworowi, którego los tak żywo obchodził młodego ięć towarzysza; przytomna ięćgo puszczaniu się na wodę, chętnieby z nim dzieliła tę, acz niebezpieczną żeglugę, ażeby iak nayszybciej zapewnić się mogła o losie oycę; ale równie o Wacławę troskliwa, nie mogąc opuścić Ostrowia, bez wzięcia wiadomości o ięćgu życiu, przekładała nieznaiomemu, żeby się przynajmniej wstrzymał do świtu; niewzruszony w swych układach podróżny, niechciał stracić ani iednej chwili z swęć pilnęć żeglugi, i pożegnawszy dziewicę, kazał odbić od brzegu.

Właśnie gdy statek ięćgo znikał w ciemności, ścigany trwożliwym Maryi wzrokiem, dał się słyszeć w bliskości na wodzie piorunuiący głos Jurgi: A czy Pohibiel tu natkał te brusy przekłęte! przeszoruią mi na skrós

szuhaleię! A odpychaycież ich z lichem na wodę! Tu, tu, w tę stronę, na prawo! wołały głosy pomagających przevoźników, i zebrane na brzegu tłumu wyspiarzów. Niechęć do brzegu; obeydę się bez waszëy gospody; moia gospoda na wodzie! powtarzał uporny Jurga. — Poznawała dobrze głos iego stojąca na brzegu Marya. Sercem iëy okropna miotała niepewność! Oczy wlepione w stronę, z którëy przychodziło wołanie, zdały się przedrzeć zasłonę ciemności. Patrząc z natężeniem i nic niewidząc prócz słabych cieni wahających się w oddaleniu statków, z przytłumionych piersi głos lëkliwy wydał: Wacławie! — Jestem! iestem! odezwały się natychmiast znane iëy usta. Ten dźwięk miły tak ją przeraził, iż w zbytku szczęścia padła bez zmysłów na ziemię.

Wacław nie czekając przybicia statku, po brusach na wodzie dostał się na brzeg pożądaný. Wrócona staraniem iego do przytomności Marya, wśród naytkliwszych oznaków dzięki i uradowania, przepraszała, że niewczesném z łódki zawołaniem o pomoc, mogła go być o stratę życia przyprowadzić. Wacław ją zapewniał, że jeżeli ma szczęście ieszcze ją widzieć, winien to przytomności przewoźnika swego. Już go bezdeń wodna chłoneła, gdy śmiały Jurga wrzuciwszy się za nim w odmęt, dzielną go dłonią uchwycił, i iak pies sprawny, co zdobycz wodną wiernie panu dostawia, tak on snadnie przyniósł go do statku, i naburczawszy do woli, wrzucił go weń z lekkością iemu tylko właściwą. Tymczasem przemożny ten człowiek przewiduiąc na iak wielkie niebezpieczeństwo naraziłby

swe zbiory, gdyby przybił do brzegu zamieszkałego przez cyganów, wolał z szuhaleią na wodzie nocować, niż korzystać z gościnności wyspiarzów. Wacław przyrzekał dać za niego okup, choćby naywiększy, naczelnik osady zaręczał mu nietykalność plonu, nic go iednak nie mogło skłonić do zaufania ludziom, których znał dobrze rzemiosło. Musiał tedy młodzieniec inny dla siebie zamówić statek, na który nazajutrz zabrawszy Maryę, puścił się ze wschodem słońca na Zahać. Droga półmilowa przy spokojnéj ciszy, nie narażała go więcéj na trudne przeprawy, tym bardziej, że woda zaczynaiąca opadać, łatwieyszą czyniła żeglugę. Ciekawa była Marya wiedzieć, gdzie i iakie iéy przyjaciel gotuie schronienie, Zahać bowiem daleko niżéj od Klep-

czaków leżąca, nie mogła być wolną zalewu.

Dzień iasny sprzyiał podróży, gdy Wacław zbliżał się do miejsca, które drogiéy iego towarzyszcze miało oycę powrócić. Poranne słońce złościło zdaleka płowe ściany pięknego budynku, który cudownie z łona wody wynikał. Kształt iego i powierchowność ozdobna, na pierwszy rzut oka zdały się być zaklętem mieszkaniem tych wodnych bogiń, które iak on dziwnie utrzymując się na wodzie, bezpieczne są zalewów naygwałtowniejszych. Była to składna, zspaianych trzcin o-czeretowych szopa osadzona na belkach i żerdziach, które rzucone między konary otaczających ją starych dębów, służyły iéy za pomost niewzruszony. Dach lekki, okna kształtnie wyrznięte i podłoga ułożona na po-

moście, dokonywały składu téy napowietrznéy budowy. Przydawały iéy zewnętrzny ozdoby, otaczające ją wierzchołki dębów okrziesane z zbytecznych gałęzi; zarys iey, iak pozwalało drzew położenie, zachodził poprzeczną pierzeią na drugą stronę, a wszystko okrążała szeroka kładka opatrzona zaczepionym o gałęzie poręczem.

— Co za śliczny domek! odezwała się z zachwyceniem Marya poglądając na dziwną iego budowę. Jak miło być musi patrzeć bez trwogi z tych okien!

— To Zahać, odpowiedział Wacław szczęśliwy.

— To ma być Zahać? Wszakże Zahać ma większą osadę i wśród lasów leży.

— Nic pewniejszego. Tamta Zahać leży ztąd o kilka staj, i choć się

nazywa się lądową, nurza się w wodzie, ta zaś jest wodną i nad nią panuje.

— Ale któż ci podał myśl tak dowcipną?

— Kazałem przeszły jesieni wznieść tę szepę, pomniąc, iak nisko leżą Klepczaki.

Wyraz wdzięczny czułości był odpowiedzią dziewicy. W rzeczy samej, szalas ten osadzony w wysokości kilku sążni od ziemi, utwierdzony powrozami w podstawie, lekki i mocny zdał się niedostępnym naywyższej powodzi, a obszerność iego nie mała, wszystko mogła w sobie zawierać, co tylko na czas dwumiesięczny dla kilkunastu osób, zdało się być pierwszemy potrzeby. Zbliżając się do niego nasi żeglarze, postrzegli kilka tratw na wodzie, otaczających dolną część rusztowania, na których

stoiące poiazy i konie, dały im wiedzieć, że dwór podróżujący znalazł w nim schronienie. Nie długo Marya zostawała w niepewności o oycę. — Oczy iéy uyrzały go naypierwszym w gronie kilku osóbstoiących na kładce, i wkrótce z nim złączona, wśród naytkliwszych obiawień, dziek i uradowania, uczuła oddaną rękę wybacwcy swoiemu.

Wielkie zapewne musiało być zadziwienie Wacława, gdy po téy chwili szczęśliwéy, podróżujący pan, przepraszając go za zaięcie domu, w który go Pan Klepczacki wprowadził; dzieki mu składał za ocalenie iego siostrzenicy, która w téy chwili właściwą płci swoiéy suknią odziana, przypomniła mu młodzieńca, co wczora rozdzielił go z Maryą. Piękna podróżna, spuszczaiąc oczy, zdała się wstydzic i przeobrażenia swe-

go i przygód, których stało się przy czyną. Dalsza iéy rozmowa uwiadamiała zdziwionych, że mając zwyczaj brać na siebie w podróży ubiór męski, dla uczynienia większego wrażenia na tych, od których może potrzebować posługi; w tym razie, na kilka godzin przed powodzią udawszy się konno do Dawidowa za naieciem furmanów, o mało życiem nieprzyplaciła tak niewczesnéy śmiałości.

Kilkanaście dni spędzić musieli podróżni w tém wodochronném mieszkaniu, nim opadła zupełnie woda, odkrywając gościńce, groble i mosty, dozwoliła im myśleć o dalszém drodze. W tym przeciągu czasu dał się widzieć poranku iednego Jurga w Zachaci. Nie miał już on na sobie téy zuchwałéy postawy, którą tak wiele na wodzie dokuczył. Schyłony i po-

korny smutno postępował po oschłej grobli, wiodąc za sobą wychudłego konia. Wacław przypomniawszy, że mu zgodzonych czterech talarów jeszcze nie wyliczył, z potrojoną ilością wybiegł na jego przywitanie, i oddając mu należytość, ponawiał dzięki i zapewnienia wdzięczności za uratowanie.

— Ey! co tam, że się człowiek trochę namoczył! a iużci wstydby był wieczny moiéy szuhalei, gdyby się z niéy co uroniło, odpowiedział niewzruszony w swych zasadach przewoźnik, bodayto na wodzie! serce się kraie patrząc iak biedna szuhaleia pada się na słońcu pod płotem!

— Mój przyiacielu! czy na powódź, czy na posuchę, moje zapasy zawsze dla ciebie będą otworem. Ale mi powiedz, cóż myślisz z tym koniem uczynić?

— A iużci niech idzie do kogo należy. Plew ieść nie chce, ieszczeby mi się może w wilkołaka (1) przerzucił; iak słyszę, z téy zmary stała się piękna niewiasta. Boże u-choway! iam zaraz powiedział że to ladaco, i żeby ią był dobrodziejcy zostawił na drzewie, iak tam z lichem siedziała, zaiechalibyśmy ieszcze za dnia za Zachać; dziękować Bogu że i tak człowiek zdrowo z nią wyszedł, tyłkobym rad wiedział, iak się obróciła reszta chudoby w Klepczakach.

(1) Wilkołak, podług mniemania ludu, jest zwierze puł człeka, puł wilka. Gdy ludzie źle się obchodzą z końmi, psami lub bydłętami, gdy ich głodem morzą, lub nad siłę pędzą, padające z nędzy zwierzęta mają się zamieniać w wilkołaki, które potem napadają w nocy na swych ciemieżców i okrutnie ich dławią.

— Daymy już temu pokóy, odpowiadał Wacław, zalecając ludziom gościnnym zabrać wierzchowca do stayni, i dodawszy kilka rubli przewoźnikowi, odprawił uradowanego do domu.

Po wyjeździe podróżnych, gdy kray wiosenną odział się zielonością, pan Klepczacki wróciwszy z córką do domu, starał się nayprzód wybadać dla czego ludzie iego zapomnieli w powodzi o Maryi. Ale ich tłumaczenie bardzo było iasne. Gwałtem zatrzymani z tratwą przez siłę wód mocniejszą w Dawidowie, nie mogli aż dnia trzeciego uwolnić się do domu. Tymczasem wszystko wracało do dawnego porządku, a gdy potrzebne uczyniono przysposobienie, szczęśliwy oyciec łącząc cnotę z wdziękami, wyprawił naszym kochankom staro.

polskim obyczajem wesele, na którym zgromadzeni sąsiedzi wcale nie mieli powodu uskarżać się, na poniesione straty przez powódź.



RZECZ

O ŚPIEWACH LUDU,

MIEDZY RZEKAMI, BUGIEM, WKRĄ I NIEMNEM, MIE-
SZKAJĄCEGO.

JAK się rościąga dzisieysze woie-
wództwo Płockie; w części iego pół-
nocno-wsehodniéy, koło miast Ostro-
łęki, Myszyńca i Makowa; zabieraiąc
znaczną część południowego woie-
wództwa Augustowskiego, i część
Litwy nad-niemeńskiey, zamieszkał

lud, o którego śpiewach, krótką wiadomość dać zamyśliłem.

Lud ten, lubo w granicach dawnego mazowsza zamknięty; iednak zdaie mi się, że, albo wcale do pokolenia Mazurów nie należy, albo przynaymniéy osobny ród iego stanowi, o czem bardzo łatwo można się przekonać, porównawszy tylko wieśniaka z okolic Warszawy, lub Płocka, z chłopem ze stron Myszynca; Krępy, niewysokiego wzrostu, jasnych oczu i włosów, a cery rumianej i świeżej, otwarty, szczery, wesoły, choć niezgrabny chłop Mazur; tego zaś czoło, prawie zawsze gęstemi kruczemi włosami okryte, brwi iego czarne, oko bystre, twarz śniada, a wzrost wysoki i krzepki. — Nie mam ja zamiaru, badania początku tego ludu; ani przyczyn iego odosobnienia; bo w tym moim pisemku,

umyśliłem dać tylko poznać czytelnikom, niektóre próbki poezji przetłumaczonej z dość niezrozumiałej mowy.

PIĘNIA EROTYCZNE.

Śpiew musi być bezwątpienia stosownem do uczuć, iakimi napętnione jest serce człowieka, a ieszcze śpiew silną podniecony władzą miłości. W rozlicznych pieniach erotycznych, rzadko owa czułość i naiwność piętnią się; która po większej części w śpiewach Krakowianów i Mazurów, spostrzegać się daie, a ieszcze rzadziej można usłyszeć w nich śpiew opiewający wzajemną, i szczęśliwą miłość, albo też zawierający słodkie, ale bezcelne prawie wynurzenie spokojnych

uczuc , roziaśnionych ieszcze słodką
nadzieją.

Z śpiewów nacech owanych wię-
kszą spokojnością i czułością; są dwa
następujące :

G O R A L.

Po zielonych wód głębinie ,
Po spienionéy fali ,
Patrz iak płynie ! patrz iak płynie !
Naystarszy z Goralu ,
Alboż u nas tu nic miło ,
Czyliż tu nie mile ?—
Zwiosną już pole ożyło :
Kwiatków łyska tyle —
Patrz na wzgórza i na lasy !
Ptaszętów miliony ;
Pełne wabów i okrasy —
Lube ciągną tony :
O Goralu mój kochany ,
Zostań, zostań luby ,
Poluy w lasach i pleń łany ,
A nie leć do zguby —
Próżna proźba; Goral płynie , —
Dziewcze go zdradziło ,

A przy zdradliwéy dziewczynie
Czyliż i żyć miło?

Następny śpiew maluje znowu spokojnego i oddanego rezygnacyi kochanka.

KASZTELANIC.

Od Tworkowskich granic
Jedzie kasztelanic,
Przez pola i łąny,
Jedzie zadyszany. —

„ Do méy przysztéy żony.
„ Pędź koniku wrony,
„ Pędź koniu kochany,
„ Przez pola, kurhany” —

Konik zębem zgrzyta,
W nozdrza wietrzyk chwyta,
Wśród śniegu zamieci,
Do bliskiéy wsi leci.

„ Nie pędź tak paniezu;
Głos woła ze zgliczu. (1):

(1) Zgliczem nazywają miejsca bagniste, krzami leszczyny, albo ciernia, zarosłe.

„Twoja przyszła żona
Z innym zaręczona.,,

Ale niedba na nic
Dzielny kasztelanic;
Wśród śnieżnéy zamieci
Do bliskiéy wsi leci.—

Przyleci, ze skoczy,
Zmartwiały mu oczy : —
W cerkwi światło gore,
Przybył już nie w porę.

„Biedny młodzian ze mnie,
O ! i bardzo biedny,
Kochałem się w iednyj,
Ale niewzajemnie.

Póydę ja na Szwedy,
I skończę dni biedy;
Gdym stracił iedynę,
To bez żalu zginę.

Lecz nie we wszystkich śpiewach
kochankowie są równe czułemi i spo-
kóynéy oddaiący się rezygnacyi. —

A L L A N.

Przyszedł Allan do swéy lubéy w maiowy
poranek.

I rzekł onéy, lube dziewcze, oddaymi swóy wia-
nek.

Jaże kocham wiernie, szczerze, dam ci wszystko
moie,

Ale ty mi odday z sercem, odday rękę twoię.

Przysięgło mu wierność dziewcze, a Allan szcze-
śliwy

Poszedł z bracią swą wojować za niemieńskie
niwy.

A iak poszedł, tak powrócił, aże za trzy lata ;

Moja Tekla, będziesz miała mężem swoim
chwata.

Lecz próżno ufasz kobiecie, iuż Tekla niestała
Jnnemu ze swą ręką i serce oddała.

Następujący zaś śpiew dokładniéy
małuię, nawet i w miłości popędliwy u-
mysł. Śpiew ten należy do iakowegoś
poematu, zapewne dawnych czasów się-
gającego, miarkuiąc po nieużywanych
iuż wyrazach; ale całego, pomimo méy

usilności, usłyszeć niemogłem. Skar-
gi kochanka nie mającego wzajemno-
ści brzmią, iak następuie:

Nieszczęśliwy ia kochanek ,

Nie znam wzajemności —

W każdy wieczór i poranek ,

Ogień klnę miłości.

I cóż ci ia zawiniłem ,

O ! dziewczę kochane ?

Czemżeż na to zasłużyłem ,

Abym serca znosił ranę ,

Abys wciaż mię ogniem piekła,

Udręczany, niekochany ,

Kiedy boleść dręczy wściekła ,

Rodzinne przebiegam łany.

Użałże się moiéy doli ,

Kwiateczku weselny ;

O! bo niewiesz, iak to boli

Ogień nie podzielny .

Użałże się doli moj ,

Złagodź dotkliwe katusze ;

Choc raz wdziękiem czułéy mowy,

Nakarm moię duszę ;

Darmo śpiewał Allan biedny ;

Bo dziewczyna płocha ,

Naśmiewa się z cierpień jego,

I innego kocha.

„O nieśmiej się — niedrwyj ze mnie,

Dziweże w czuciu sroge.

Gdy niekochasz mnie wzajemnie,

To zaszkodzić mogę. „...“

Jest ieden ze śpiewów, pod nazwiskiem *Halina*, w którym legły ze szwedami kochanek, przybiera na siebie postać żyjącego, urodnego młodzieńca, i zwabiwszy piękniemi słówkami dawną kochankę porywa ją w otchłanie rzeki, a z téj wotchłanie piekła. Jest znowu inny śpiew, w którym duch co noc odwiedza dawną ulubioną, i stawszy się nareście upiorem, zameżną z innym, zabija. Spadająca gwiazda, mająca tu nazwisko *Latawca*, równie iak na Ukrainie, może się kochać; a co więcéy, może być kocha-

ną; lubo taka miłość na złe prawie zawsze dziewczętom wychodzi, iak to następująca śpiewka pokazuje:

Pokochała się w latawcu dziewczyna,
 Pokochała się Halina;
 Ale latawiec, ogień to niestały —
 Żywot dziewczyny zatrzał cały.
 „O nie kochay się w błyskotkach dziewczel
 „Nie zważay, co ci czart szepcze—
 „Bo z czartem trudna wygrana.,,
 Woła dziewczyna stroskana.—

Można iednakże usłyszeć (lubo bardzo rzadko) śpiewy, w których wierne i smutne na zgon, albo niedoszłe zamęcie z kochankami, utyskują.

„Płacze dziewcze po nad wodą,
 Z upłynioney wiosny,
 Pociesz, pociesz się swobodą,
 Przyydzie czas radośny—
 Zniknie iesień—zima przeydzie,
 Znowu wiosna błyśnie;
 Szczęście będzie—radość będzie,
 Poziomki i wiśnie—

„Dla mnie wiosny czas upłynął,
 Niezwinie się wianek,
 Kiedy zginął—kiedy zginął,
 Drogi mój kochanek“—

Lecz podobne śpiewy są rzadkie, iakiem już wyżej powiedział, a więc niezastanawiając się nad niemi dłużej, muszę cośkolwiek nadmienić i o śpiewach, i o dumkach obrzędowych i religijnych.

PIEŚNI OBRZĘDOWE I RELIGIYNE.

Pieśni poświęconych Naywyższej istocie, nie znam; ale natomiast, wiele z bardzo starożytnych pogańskich ieszcze czasów, zabobon i przesąd do naszych dochowały wieków. Piorun (czy Perun) Issa, a nawet Wąż i Czarny Bóg, (Bies) a szczególniej Łada, czy Lada, dawna bogini miłości Słowian, wiele pieśni poświęconych sobie mają. Ostatnia

iako opiekująca się wszelkimi obrzędami zaręczyn i zaślubin, szczególniej musiała być poważaną i czczoną, iak to następująca poświadcza piosnka:

D O Ł A D Y.

O Lado Lado, wielka bogini!

My ciebie razem czcimy;

I w chatach naszych i na pustyni,

Razem wykrzykujemy:

O Lado! Lado!

O Lado! Pani, Pani najpierwsza!

Ty władasz ziemią tą!

Niechay twa pomoc, pomoc nayszczersza,

Pocieszy duszę mą, —

O Lado! Lado!

Ładzie wielkiej Pani niesiemy cześć,

Jey wielka chwała!

Wianki iey trzeba pleść—

Niech ją śpiewa ziemia cała,

O Łado Łado!

Łada serca kruszy,

Pokóy daie duszy,

Łada poi serce,
 Zwycięża oszczercę,
 Łada, Łada, Łada!

Ładzie iedney tylko niesiemy,
 Hołdy na tey ziemi, niesiemy!
 Łada Pani wielka — wszelka

Niech ją dusza śpiewa — szczęśliwa,
 O Łado bogini!
 O wielka Łado!

I Wąż grający wielką rolę pomię-
 dzy bóstwami dawnemi, ma także
 poświęconych sobie kilka pieśni, z
 których iedną umieszczam:

Wąż to Pan wielki — uczy mądrości!
 Zielonemi plamkami ciało okrywa!
 W złotey odzieży w ziemi przebywa,
 Wąż to Pan wielki, uczy mądrości.
 O Wężu w złote farby odziany,
 Sprzyjajno ty nam w potrzebie;
 Lekarstwo day nam na rany!
 O Wężu! błagamy ciebie —
 Niechay żądło twe nieszkodzi!
 O Wężu Panie mądrości. —

Rozmaitym gatunkom duchów, upiorom, diabłu nawet, poświęconych jest wiele piosenek, ale szczególnie pod imieniem Latawca. Dnia zadusznego zbierają się tłumy ludu, pod przewodnictwem starców, na miejscu dawnych smentarzy i cerkwi, starożytne śpiewając piosenki. Zwyczaj ten upowszechniony po całej Litwie i uwieczniony poematem A. Mickiewicza, najdawniejszych zdać się sięgać czasów, znany pod nazwiskiem *Dziadów*. Starce tych nocy opiewają ległych bohaterów swoich; albo też dawno zmarłych opiewają męztwo. Wzywania duchów, pieśni erotyczne, mniej używane są w czasie uroczystych religijnych obrzędów, które ludy, (októrych mowa) od wieków starannie zachowują.

Obrzędy poprzedzające małżeństwa, iak u wszystkich ludów, nie

mogą się obejść bez piosenek ;
 lecz piosenki te z małą różnicą są te
 same, iakie u gminu ruskiego, a któ-
 re w piśmie Pana Gołębiowskiego: o
Zwyczaiach Polskiego Ludu, zamie-
 szczone są. Opuszczam je tedy, a
 przystąpię do pieśni w czasie innych
 obrzędów używanych.

Rozmaitego gatunku mają tu miey-
 sce, a azęste wzywanie Issego, Węża,
 Biesa, połączone z obrzędami i hy-
 mnami, przedmiotami religijnymi, da-
 ją potworną całość; iak to może oka-
 zać śpiew ten, zaczynający obrzęd
 Dziadów:

W święto Dziadów, wprzodków święto,
 O Aniele, Gabryele,
 O ty Łado! przybywajcie!
 Upraszają was czciciele.
 Gromco piorunów ognistych,
 Z tronu wysokiego,
 O przybywaj wielki Jesse,
 W święto ludu twego.

Na wzywanie duchów najstarszy wiekiem wszedłszy w środek koła nakreślonego trupią głową, ogrodzonego kośćcami zmarłych, takowy śpiew zaczyna:

I wy co w czyszczu w otchłani,
 Wieczyste męki znosicie,
 I wy co w lekkich obłokach,
 Przepędzacie swoje życie.
 I wy co w piekielney toni,
 Pod Biesa rządem cierpicie,
 J co w pośród naszych błoni,
 Pośmiertne ciągniecie życie.
 Wzywam was w Imie Chrystusa,
 Przybywajcie, powiedajcie,
 Czego wam brak i co wam dać,
 Daycie nam znać, daycie nam znać.

Po skończeniu tych śpiewków zaczynają się inne w rozlicznych kształtach na rozmaitą nutę, i rozmaite opiewające przedmioty. Niektóre zaś tak starożytne, iż nawet sami śpie-

waiący, a tem bardziey słuchacze nie mogą zrozumieć, ułożone w wyrazach ostrych, dziwacznie brzmiących, sykliwych i albo bardzo krótkich, albo bardzo długich.

Podobnym trochę obrzędowi Dziadów, iest obrzęd lania kul zaczarowanych, odbywany w czasie nocy S. Jana w Czerwcu w porównaniu iesiennego dnia z nocą; lecz ieżeli poprzedzającemu obrzędowi trudno być obecnym cudzoziemcom, obrzędowi lania kul ieszcze trudniey, a nawet i niebezpieczno, bo iak wieść niesie; nie ieden ciekawy, albo przypadkiem zbłąkany i przybyły na ten obrzęd wędrownik utracił życie od zazdrośnych i nieprzychylnych myśliwych. Również śpiewy używane przy obrzędzie tym w głębokiey zostaią tajemnicy, gdyż zabobon głosi: iż każdy śpiewaiący ie bez potrzeby, od okrutnych czaro-

wnic śmiercią karany bywa; z wielką tylko trudnością mogłem namówić jednego z myśliwych, i to zachęciwszy go sporą miarą spirytusu, do odśpiewania tego, mającego być używanym przy początku straszego obrzędu lania kul.

W mglistej nocy — w wiatrów burzy,
 Włomie piorunów siarczonych,
 Wzywam was, wszechmocne duchy,
 Wzywam czystych i nieczystych.—

I wy, które pod skałami,
 Cierpicie męki czyszczowe!

I wy, którzy nad piekłami,
 Unosicie dumną głowę.

Wzywam wszystkich was razem,
 Wiatry świszczą — świszczcie wiatry;
 Przybywajcie duchy z piekła,
 Przybywajcie, niech w ten ołów,
 Dusza wasza weydzie wściekła.

Wzywam was, wszystkich was —
 Burza huczy — burza wściekła,
 Do mnie — do mnie duchy piekła!
 Za cenę mego żywota!

Daley — daley — duchy z piekła.

Moralnych pieśni bardzo mało sły-
 szeć można; częstszemi są legendy,
 które, lubo na religii katolickiej o-
 parte, w istocie są utworem, albo nad-
 zwyczajnego zabobonu, albo wygu-
 rowaney fantazyi; z pomiędzy podo-
 bnych legend, nayznakomitszą i nay-
 częściej śpiewaną jest następująca,
 którą co do słownie umieszczam.

M A C O C H A.

Szedł Pan Jezus drogą,
 Napotkał dziewczynę ubogą,
 I pyta się iéy; o czemuż dziewczyno;
 Z modrych twych ocząt łez strumienie płyną?
 A Czemuż ja nie mam płakać, dziewcze rzekło,
 Kiedy u mnie w domu dołęgliwe piekło.—
 Matka mi umarła, a od czasu tego
 Nie mam od cierpień momentu wolnego,
 Macocha mnie dręczy,
 Macocha mnie męczy,
 Gdy w suknią obłóczy,
 To po ziemi włóczy,

Ebie mnie, popychła jako leśne zwierze,
 Ani do kościoła ze sobą nie bierze.
 Jéy dzieci w miękkiéy sypiaią pościeli,
 A mnie złe służące między siebie wzięli.
 Pokarmem ich strączki, mleko, i jagody,
 Moim kromka chleba, mała miarka wody.
 Pan Bóg się uzalił dziewczyny kochanéy;
 I rozkazał iéy iść pomiędzy kurhany,
 Wziąć wiązkę kaliny, i stanąć na grobie,
 I o dawnéy matce wyśpiewywać sobie. —
 A grób się otworzył, i maténka wstała,
 I do swoiéy trumny dziewczynę zabrała. —
 Ubrała ją biało, z sobą położyła,
 I własną iéy głód piersią nakarmiła. —
 A zesłał Pan Bóg dwóch Aniołów w bieli,
 A ci dziewczynę z matką w Niebo wzięli,
 I zesłał Pan Bóg czterech czartów z piekła,
 I poszła z niemi macocha wściekła.
 Na rozpaloném stole posadzili,
 I roztopioną smołą napoili.
 O płacz macochó! płacz matko złéy cnoty,
 Bo Pan Bóg karze ciemiężcę sieroty. —

Często także, iakiem to już powie-
 dział, mówiąc o śpiewach Erotycz-

nych, umarli powstają z grobu i przychodzą do swych żon, przyjaciół, lub kochanek, albo upominają ich, pocieszają, albo też i radzą. Często także opowiada zmarły, wżywch i smętnych kolorach, o tamtym świecie: iak n. p. w pieśni pod tytułem: Baron; mąż w następujących wyrazach opisuje żonie swe położenie pośmiertne.

Wolałbym raczén żyć tu w niewoli,

Nizli tam mieszkać w swywoli

Bo co za chwała buiać wśród chmury,

Albo na strome wdzierać się góry.

Lada cię wietrzyk z sobą zarywa,

Lada cię deszczyk przeszyie;

To aż pod słońce wichur porywa,

To w głębie bagna zaryie.

Nie masz nikogo, z kimbyś się zbratał,

Z kimbyś poleciał na ziemię,

Z kimbyś nad słońce ieszcze przelatał;

Obce ci duchowe plemie

Aniś ty ciało, aniś ty dusza,
 Aniś ty grzeszny, ni święty,
 Wszystko cię boli, nie cie wzrusza,
 O taki żywot przeklęty.
 Staniesz przed bratem, on cię nie widzi,
 Do siostry słówka układasz,
 Ona nie słucha, kochanka szydzi,
 Gdy przed nią na twarz upadasz.
 Lecisz z wiatrami iak one wieją,
 Przelatasz w koło bram Raju,
 Obaczysz Nieba z błahą nadzieją,
 Może ia będę w tym kraiu:
 Ale nadzieia daleka taka,
 Próžno się ścigasz z Ptakami,
 Prześcigniesz wicher, prześcigniesz ptaka,
 Ale boday z ziemianami,
 Boday to z bracią ścigać ielenia,
 Boday bawić się z kochanką;
 Choć gniotą troski, chociaż cierpienia
 Dręczą i w wieczór i w ranko.

Pieśni pogrzebne, znane w Szkocyi pod nazwą Coronah; znane są i tym ludom; niektóre z nich swoją ponurą boleścią i wynurzeniem do-

tkliwych uczuć, smętnym zachwyciaią tonem, i może lepiéy potrafią wzruszyć, aniżeli owe wyszukane Elegie, i Hymny, pamięci zmarłych osób i nas poświęcone. Zwyczajną piosnką używaną przy pogrzebach, jest następująca.

A czemu bracie duszyczka twa
Spiesz się w kraie, których nikt nie zna;
Alboż ci u nas nie miło?
Czyliż ci się tu sprzykrzyło?

Łzy twoiéy żony, twoiéy kochanki,
Czyliż cię przecie nie wzruszą.
I płacze nasze, i nasze ięki,
Czyż twego serca nie skruszą?
Czyliż ci nie żal dziewicy
Czyliż ci nie żal rusznicy,
Czyż nie żal oycy i matki,
Czyliż nie miłe ci dziatki?

O pocóż spieszysz się ty tam,
Gdzie Anioł raju strzeże bram?

W tak daleką pocóż drogę
Puszczasz twą duszę niebogę?

Druga podobna téy, ale miarkując po przestarzałych wyrazach, dawniejszych sięgająca wieków, brzmi iak następuie.

Oy bracie, bracie, cóż tobie,
 Cóż tobie bracie po grobie;
 Tamóy tak ciemno głęboko;
 Oy bracie! co ci po grobie,
 Nie lepiejż zostać się z nami?
 Z braciamy, z sąsiadami,
 Z krewnemi z przyjaciółmi,
 Nie lepiejż zostać się z nami?
 Płaczą po tobie krewni,
 Siostry i bracia rzewni;
 Płacze i matka stara,
 I oyciec płacze po tobie;
 Bydełko twoie w lesie,
 Rykiem swą boleść niesie;
 I psy wierne ci wyją,
 I sokoł skrzydłem trzepie

Piosnka Starowolskiemu znana ie-
 szcze, a którą mieni być używaną
 na Żmudzi, i temu ludowi nie iest obcą.

Idziesz już tam spokojny,
 Gdzie nikt niewszczyła wojny,
 Gdzie ni Lach niespokojny,
 Oręza niedobywa,
 Gdzie i Litwin niebywa
 Z Saydakiem i strzały;
 Ni Niemiec nieudręczy,
 Ni Norman nie zamęczy;
 Gdzie, ni krzyżak drapieżca,
 Ni Iłańczyk zwycięzca,
 Nie panuje okrutny.

Często także płaczka; tak się zowie kobieta namięta do wychwalania cnot zmarłego, opiewając jego czyny, przyrównywa go, (co jest bardzo zaszczytnie, i zdobiąco) do Turalisa, lub niedźwiedzia.—Podobny sposób wystawiania cnot, charakteru, zmarłego, samem słyszał. Po odbyciu bowiem obrzędów zwyczajnych kościelnych, płaczka w ten sposób śpiewała.

„Był on mocny iako tur,
 „Stały w przyjaźni, gdyby mur,
 Przebiegły z Niemcem, iak lis był,
 Jak sokół zuchwało on się bił,
 Wilka on całą miał siłę,
 A dzisiaj idzie w mogiłę.
 O Śmierci sroga! o wielki Jesse,
 A na coś ty go z świata wziął,
 A na coś ty go wziął ze świata,
 Kiedy on na nim cnotliwie żył.

Natém kończę moje uwagi o śpiewach tego ludu, ciesząc się tą miłą nadzieją; że albo kogo pobudzę, do obszerniejszego opisania i wybadanie charakteru i historyi tego ludu, albo sam, gdy mi zdrowie i inne zatrudnienia pozwolą, wezmę się do téj pracy ochnoczo.



LEKARSTWO NA SMÓTEK.

Córka i Matka.

C: Matulu droga, kochana,
 Jakż to we mnie odmiana?
 Błogo mi było w tęg chacie,
 Wszak dobrze serce me znacie?
 Dziś tęskno w każdej mi stronie,
 I nie wiem, czego lzy ronię;
 A gdyby was tu nie było,
 Życie—by mi się sprzykrzyło —

M: Nie troszcz się dziecię kochane!
 Przetrwasz tę smutną przemianę;
 Kto tylko na świat się rodzi,
 Zwykle tę kolęj przechodzi:
 Bo na każdego człowieka
 Ucieclia i smutek czeka.

C: Ależ tak nigdy nie było,
 O troskach mi się nie śniło:
 Żadnéy tęsknoty nie znałam,
 Wesóło sobie śpiewałam.
 Dziś, iakbym nie ta iuz była,
 Chatka mi wasza nie miła;
 Serce iuz iakby nie moie,
 Matulu bardzo się boię.

M. Nie bój się dziecko kochane,
 Przetrawsz tę smutną przemianę.
 Na świecie tak, iak na dworze,
 Niebo zachmurzyć się może,
 W tém słońce chmury przebieie,
 I znowu wszystko ożyie.
 Trawka się piękniéy zieleni,
 Tak i twój smutek się zmieni.

C. Próżno mnie cieszy matula,
 Serce się mocniéy rozczuła.
 Dla mnie słońeczko nie błysnie,
 Łza zawsze z oka się ciśnie.
 Oy nie ma słońeczka mego,
 Ja pragnę, a nie wiem czego;
 Serce już iakby nie moje!
 Matulu! bardzo się boię.--

M: Doczekam córko téy chwili,
 Że się ta słabość przesili,
 Wreszcie od tęsknot i smutku
 Jest u mnie ziołko w ogródku,
 To ziołko dobrze nam znane;
 Nie troszcz się dziecię kochane!
 Uléczy cię to ziele
 Od dzisiaj za trzy niedziele.



PIEŚŃ GMINNA.

(z Dyalektu podlaskiego).

Koło ogrodka chodził chłopczyna,
 W onym ogrodku była dziewczyna;
 Iakoś z przeczucia serce mu biie,
 Zayrzał: Anulka wianeczek wiie —
 I on nie uszedł wzroku Anuli.
 Proś że ty, rzeczce, o mnie matuli;
 Iak mnie nie wyda, sama wyskoczę,
 Z cicha za sobą skrzynkę wytoczę,
 A ta skrzyneczka okuta złotem:
 Będzie matula żalować potem.—



CHRZEŚCIANIN UMIERAJĄCY.

(z *Lamartina.*)

Co słyszę? dookoła brzmia posępne dzwony,
Iakąż to ja pobożną ciżbą otoczony?

Tu łzy, blade pochodnie... śpiew pogrzebny
(głuszy.

Śmierci! twój głos o moje obija się uszy.

Ostatni go raz słyszę?... cóż to? czy złudzenie?

Nad grobem się przebudzam, senne nikną cienie?

Boskiego ognia iskro, droga, wiecznotrwała,

Duszo, któraś znikome ciało zamieszkała,

Rozpędź twogę, śmierć życie niesie w darze

(tobie:

Wzbij się w lot, więzy ziemskie roztrzaskaj

(na grobie.

Ciężar ludzkiej niedoli zostawić na świecie;

I toż wy śmiercią zowiecie?

Tak, czas nie mierzy godzin, już istocie mojej,

Wy promienni posłańce niebiańskich podwoi!

I w iakąż wy mnie nową wiedziecie dziedzinę?

Już wśród nurtów światła płynę—

Przestrzeń wzrasta przedemną, znikomy cień

(ziemi

Zdaie się lotem pędzić pod stopami memi.

Ale, cóż to ja slysze?... W przebudzenia chwili
Będziecież mnie wzdychaniem i iękiem gęszyli?
Towarzysze wygnania!.. i wyż lzy ronicie ,
W mniemaniu, że ja drogie porzucam iuż życie?
Czyż we mnie smutną śmierci widzicie ofiarę ?
Kiedy na trosk zagładę świętą spełniam czarę,
Kiedy dusza w radości swobodna, szczęśliwa,
Do bram niebiańskich przybywa? ***



ODOSÓBNIE NIE.

(z *Lamartina*).

Często na szczycie góry pośród dębu cieni,
 Siadam i w zachód słońca smutne wlepiam oczy.
 To znowu błędném okiem rzucam po prze-
 (strzeni,
 A iéy obraz przemienny u nóg się mych toczy

Tu rozbiła spienione z hukiem fale rzeka,
 Krąży... i w ciemnéy dali wąskie nurty zwiła,
 Tu jezioro bez ruchu iaśnieje zdaleka,
 W niém się wieczorna gwiazda wspaniale od-
 (biła.

Na te wzgórze zwieńczone cienistemi drzewy,
 Ostatnie jeszcze dzionek przesyła promienie,
 A wóz królowéy nocy z mglistemi wyziewy,
 Na krańce widnokregu blade rzuca cienie.

Ówdzie z gotyckiéy wieży głos do modłów woła,
 Miłe pobożnych uczuć rozpościéra dźwięki;
 Wstrzymuie się wędrownik, a ten dzwon ko-
 (ścióła,
 Zostatnim dnia hałasem święte mięsza dźwięki.

Ale czemu są dla mnie te wdzięczne przemiany?
 Serce ni uniesieniem, ni uczuciem tleie,
 Tak się patrzę na ziemię, iak na cień zbłąkany,
 Słońce, co żywym świeci, umarłych nie grze-
 (ie!

Z wzgórza na wzgórze próżno wzrok prze-
 (suwam skóry,
 Po wszystkich częściach świata darmo okiem
 (gonię,
 Przebiegam niezmierzone umysłem przestwory,
 I mówię: nie ma dla mnie szczęścia w żadnój
 (stronie.

Cóż, że doliny, chatki, pałace zostały,
 Już żadnój swym powabem roskoszy nie czynią.
 Lasy, lubo ustronia, rzeki, dzikie skały,
 W braku iednój istoty iuż dla mnie pustynią,

Czy wspaniała dnia gwiazda wschodzi, czy za-
 (chodzi,
 Obojętném iuż okiem śledzę iej koleie,
 Czy niebo kryją chmury, czy się wypogodzi,
 Cóż mi po świetle słońca? nie dla mnie iaśniecie.

Gdybym ja poszedł za niem w niezmierzoną
 (drogę,
 Oczyby moje same pustynie widziały.
 Niczem ja już pod słońcem cieszyć się nie mogę,
 Nic już dla mego serca nie mieści świat cały.

W innych może przestworach za jego krań-
 (cami,
 Gdzieby słońce prawdziwe światom przyświe-
 (cało,
 Gdybym się tu z moimi mógł roztać zwłokami
 Znalazlbym to , co marzeń tyle kosztowało.

Tambym się upragnioną nasycal słodyczą,
 Tambym znalazł mą miłość z nadziejami memi,
 I dobro, co go sobie wszystkie serca życzą,
 A któremu imienia zabrakło na ziemi.

Ze się też wznieść nie mogę w iutrzeńki ry-
 (dwanie
 Ku lubéy, tam, gdzie żądzą pędzę nadaremną;
 Jeszcze mię tu wstrzymuie to ziemskie wygnanie?
 Wszakże już nic spólnego nie ma ziemia zemną.

Kiedy z drzewa na ziemię liście opadały,
Na wszystkie wiatr wieczorny miotał niemi
strony,
O i ia także iestem iak listek zwiędniały,
I mnie iak liść powiewny niesie wiatr szalony.



PIEŚŃ SYCYLIYSKA.

Niechay tylko ładnie,
 Czarne oko skinie,
 I dom się zapadnie,
 I miasto w ruinie;
 Jakże ta gliniana,
 Przed mem sercem ściana,
 Jakby cała,
 Zostać miała? —

NOWO GRECKA.

Słowik uszedł z naszych gaiów,
 Teraz znowu z wiosną wrócił,
 Nic nie przejął z obcych krajów,
 Nuci tak iak dawniëy nucił.

BURZA MORSKA.

I znowuż gniewy wściekłemi,
 Zawrzałeś dziki żywiole?
 Razem i niebu i ziemi,
 Chciałeś dumne stawić pole;
 Lecz już opadły wylewy,
 Utechły głupie twe gniewy.

Ziemia niewzruszona stoi,
Niebo iak dawniey iaśnieie,
Zielonością ziemię stroi,
I tobie i iey się śmieie ;
A tyś tak smutne, zmacone,
Choć byłoś gładkie, iak one.

Ni ziemi złorzeczyć trzeba ,
Ze stała, kwitnie zielono ,
Ani się gniewać na nieba,
Ze modre , iasne ma łono,
Jeśliś mniey od ziemi stałe,
Za to iaśnieysze twe łono.

Gdyś mniey niż niebo wspaniałe,
To iesteś stalsze niż one.
Gdy się ustoisz z pokojem,
Wraz się przeyrzą w łonie twoiem ,
Gdy zarzucisz gniewy płone,
Zgodnie z losem i potrzebą;
Będiesz iak ziemia zielone,
Będiesz błękitne iak niebo.

J U T R Z E N K A.

Błyszczała rosa na łące,
 A nad łąką gwiazd tysiące;
 Kiedyśmy siedzieli sami,
 Za podwórkiem pod ścianami.

Łzę się lica twoe zrosiły,
 Na ten wyraz, „tyś mój miły;
 Ile iasných gwiazd na niebie,
 Tyle żyjmy dni dla siebie.“

Rosa opada i miła,
 Mnie łza z oczu łzę pobija,
 Gwiazdy nikną i iaśnieją;
 Ja się tułam za nadzieją.

Ż Y C Z E N I A.

Wszystkiemi chcę iść drogami,
 Radbym zwiedził wszystkie skały;
 Radbym krążyć z obłokami,
 I przez morskie płynąć wały.

Tak kiedy mię żądze zwodzą,
 Lecą wały, chmury moje,
 Skały, drogi mgłą zachodzą,
 Ja na dawnym miejscu stoję.

M Y Ś L I W Y.

(*Pieśń Litewska*).

Nim ia okulbaczę konia,
Każę ostre dać podkowy,
Będę hasał przez dąbrowy,

A gdy minę pola, mosty,
Strzelać będę po porębie;
Będę dzikie bił gołębie.

Tam dziewicę napotkałem,
Co do lasu na te wody!
Późno wyszła na jagody.

Zsiadłem z konia i zasnąłem,
Przy dziewczynie koralowey,
Na iey ręce liliowey.

Gdym się zbudził; ach zginęła —
Mnie ostroga posrebrzana,
Jey chusteczka wyszywana.

Kto ie znalazł, niechay odda,
By się ze mną moia miła;
Takiey zguby nie wstydziła.

D O
S K O W R O N K A.

Skowroneczku! już wiosna,
Wróciła radośna,
Ty krążysz wokoło
I nucisz wesolo.

Nie dla mnie już miła,
Dziś wiosna wróciła,
Ja nuce na wiosnę,
Piosenki żalosne.

Pod niebo się wznosisz,
Kochankę twą głosisz,
Kochany, szczęśliwy,
O zdabiaj te niwy.

Ja w polu stęskniony,
Żalósne gram tony,
Bo moja iedynda,
Zniknęła Halina.



ZŁOTY PIERŚCIEN

Powiastrka Zawisłańska.

przez Kosińskiego.

„Co wy myślicie o bracia moi,
 Ze miłość ieszcze mnie grzeie,
 Serce ustało bić z pod téy zbroi;
 W boiu się przyszłość nieśmieie.
 Miałem kochankę kiedyś przed laty,
 Na płockiéy ziemi daleko,
 Lecz, że nie byłem możny, bogaty,
 Gardzili krewni mą ręką;
 Iednakże Wikcia stałe kochała;
 I patrzcie, pierścień ten złoty
 Na znak wierności niezgasłéy dała,
 I ia podobneyż roboty,
 Złożyłem w miłą, mężną iéy rękę;
 I chociem miłość porzucił,
 Nieoddałem go, bobym iéy mękę
 Sprawił, i na śmierć zasmucił,
 Hey! co kochanie; co to kochanie?
 Głupstwo, szaleństwo, niewiara,
 Mnie za kochanie, mnie za łzy stanic,
 Koń mój, i szabla ta stara.“
 Tak woła Baron woła i piie
 Piie i woła i krzyczy;

„Co tam z miłości niech szabla żyje,
 Winko, i worek zdobyczy.
 Głupstwem serdeczne czucie i rana,
 Albo ból serca ognisty, —
 W tym Germek weydzie,, mam list do pana;
 Przy liście pierścień złocisty ,,
 All porwał bilet, porwał, przeczytał,
 Oko stanęło mu w kole;
 Podeptał pierścień, zębem zazgrzytał,
 Schylił się, usnął przy stole.
 W liście pisano: że ot w te lato,
 Wikcia z porady opieki,
 Z innym w zamęzciu: All niedba na to;
 All usnął, i śpi na wieki.



NOWOROCZNIK POLSKI

1833:

ZAWIERA.

	<i>stronica.</i>
I. Powódź: Powieść oryginalną; przez autora Poiaty	1
II. Pieśni ludu zamieszkałego między w Krą, Bugiem i Niemnem. Obrzędowe, i religijne; przez Odyń.. . . .	117
III. LEKARSTWO NA SMUTEK. <i>Córka i Matka</i>	143
IV. PIEŚN GMINNA. (<i>z dyalektu podlaskiego.</i>)	145
V. CHRZEŚCIANIN UMIERAJĄCY. (<i>Z Lamartina</i>).	146
VI. ODOSOBNIENIE. (<i>Z Lamartina</i>). przez ***	148
VII. DO SKOWRONKA	156
VIII. PIEŚN SYCYLISKA.	152
IX. NOWO-GRECKA.	152
X. BURZA MORSKA	152
XI. JUTRZENKA.	154
XII. ZYCZENIA.	154

XIII. MYŚLIWY. (*Pieśń Litewska*). . . , 155

przez ***

XVI. ZŁOTY PIĘRŚCIEN, *Powiastrka Za-*
wisłańska przez Ko... 157

Rycinę Delin: Piw: sculp: Ditr.

P.J. 2380



BIBLIOTEKA IBL

P. I. 2380

1833